Nr. 9. Warszawa, dnia 4 Marca (20 Lutego) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

WIEK NERWOWY.

Często powierzchownie sądzi ten, kto mniema, że w polityce działają jako pobudki i sprężyny tylko interesy i rachuby czysto polityczne, że te nici, z których się snuje zwyczajna tkanina życia, nie splatają się z jej osnową. Pomijamy wpływ temperamentów, usposobień i stosunków ludzi, stojących u steru państw, gdyż ten czynnik jest aż nadto dobrze znany i dostateczny; ważniejszym, chociaż mniej widocznym, jest wpływ inny — nastrojów czasowych ogółu, na który chcemy dziś zwrócić uwagę. Jakkolwiek byłaby bierną masa narodu, a samodzielnym jej rząd, niewątpliwie ulega on prądom z niej płynącym. Wypadki i procesy historyczne mają zawsze swoje właściwe tło, swój grunt, z którego wyrastają. Wiek obecny nazwano nerwowym i rzeczywiście jest on takim. Wszędzie, zarówno w społeczeństwach bogatych, jak biednych, szczęśliwych i upośledzonych objawia się niezwyczajna drażliwość, chorobliwe wyczulenie, skłonność do przewlekłych zatargów i waśni. Najdrobniejsza sprawa rozwija się w przebiegu ostrym i gorączkuje umysły. Opuścił je spokój równowagi, temperatura krwi co chwila podnosi się do groźnej wysokości, lada drobiazg sprowadza rozjątrzenie. Widzimy to nietylko w kłótniach i walkach społecznych, ale także międzynarodowych. Ludy, które przez wieki żyły z sobą we względnej zgodzie, a przynajmniej spokoju, rozpoczęły teraz boje zacięte i nieustanne. Zapewne, jeżeli patrzymy na zapasy czechów z niemcami lub irlandczyków z anglikami, to musimy w nich uznać jako przyczynę wzrost uświadomienia się odrębności narodowej i sprzeczności interesów, tworzącej głęboką przepaść między obu stronami. Ale zarazem trudno nie zauważyć, że natężenie walki zależy w znacznej części od powszechnej denerwacyi, bez której toczyłaby się ona mniej zaciekle. Nadto spotykamy objawy, w których ani owo zwiększone poczucie różnicy, ani przeciwieństwo interesów nie gra głównej roli, a mimo to starcie odnawia się ciągle.

Wymownym tego przykładem są naderwane stosunki szwedzko-norwegskie. Od r. 1814, a więc przez lat blizko 80, państwa te, pokrewne pochodzeniem i ustrojem, żyły w tak idealnej harmonii, że odróżniano je zaledwie w geografii. Oba posiadały swój samorząd, zupełną niezawisłość i swobodę rozwoju, łącząc się tylko słabym węzłem wspólnego monarchy. Ponieważ zaś trzymały się zdala od polityki europejskiej i jej powikłań, więc zwróciły całą swoją energię ku sprawom wewnętrznym, w których każde z nich gospodarowało u siebie według własnej nieograniczonej woli. I oto nagle wybuchł między niemi spór, który wikła się od roku i nie dobiega do końca. Wywołała go sprawa tak drobna, że mógłby ją zastąpić polów stokfiszów lub coś podobnego, gdyż tylko Norwegia zażądała od swej siostry prawa wpływu na mianowanie konsulów zagranicznych. Pretensya ta w każdym innym czasie z pewnością byłaby załatwiona gładko — w wieku nerwowym rozpłomieniła wzajemną nienawiść. Odrazu skoczyły sobie do oczu rozmaite stronnictwa, radykaliści, konserwatyści, umiarkowani, zaczęto rozcinać unię, swarzyć się, złorzeczyć sobie, wreszcie grozić. Jak zwykle słabsi, buńczuczniej zachowuje się Norwegia, która niemal żąda albo poddania się Szwecyi pod jej władzę, albo zupełnego rozdziału.

Pomimo wszakże tych często dość hałaśliwych kłótni, nie należy oceniać położenia zbyt pesymistycznie. Szwecya i Norwegia — to państwa i społeczeństwa przeważnie chłopskie, które z natury swojej czują silniej, niż inne, potrzebę zgodnego współżycia, a przytem są bardzo wrażliwe na wszystko, co sięga do ich kieszeni. Otóż pierwsza z nich w zamian za ustępstwa w kierunku zupełnej równoprawności zażądała od drugiej odpowiedniego pomnożenia sił zbrojnych. Wojsko zaś jest sprawunkiem bardzo kosztownym, Norwegia tedy musiałaby ponieść znaczne wydatki, które jej wcale nie nęcą nawet przyjemnością posiadania o kilkadziesiąt tysięcy więcej własnego żołnierza. Zdaje się więc, że ona tym argumentem zostanie przekonaną i pokonaną, zwłaszcza że do ofiary nie zmusza jej żadne niebezpieczeństwo zewnętrzne, bo przecie wojny z nikim prowadzić nie będzie.

Zatarg tedy szwedzko-norwegski nie tyle jest walką dwu narodów, które po długiem połączeniu zamierzają się rozerwać, ile raczej objawem nerwowości wieku, która poprostu szuka przyczyn i nieraz wybiera najbłahsze, ażeby tylko otworzyć ujście rozdrażnieniu. Objaw ten, występujący nawet śród stanów północno-amerykańskich, targanych siłą odśrodkową, wydziera się szczególnie z łona Europy. Wszelkie postacie unii — na półwyspie Bałkańskim, Skandynawskim, Iberyjskim, w Austryi, w Wielkiej Brytanii nie wytrzymują naporu prądów rozkładowych, pękają w swych najmocniejszych wiązaniach i drżą w odwiecznych podwalinach. Powtarzamy, że tłomaczenie tych faktów czynnikami wyłącznie politycznymi, które zresztą również działają, byłoby błędem, gdyż uczestniczy w nich powszechna nerwica, osłabiająca i targająca stosunki, pozbawiająca jednostki i społeczeństwa tej pogody i równowagi usposobień, jakich wymaga zgoda. W takich nastrojach zasypiają przyjaźnie, a budzą się pretensye, niesnaski i nienawiści.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ferry wybrany został prezydentem senatu. Dla Francyi jest to wypadek, jeżeli nie doniosły, to w każdym razie znamienny. Ferry nie używał w niej popularności. Jedni czuli do niego odrazę za prześladowanie duchowieństwa, drudzy za ochładzanie gorączki odwetowej i ciążenie ku Niemcom, inni za klęski w koloniach, a prawie wszyscy za zbyt energiczną rękę. Usunięty od rządu, stał oddawna w cieniu, ale ciągle widzialny, ciągle budzący trwogę. Może żaden z żyjących mężów stanu francuskich nie był przedmiotem gwałtowniejszych napaści, złośliwszych karykatur i obelżywszych wymysłów. Gdy odsłoniła się w całej swej ohydzie sprawa panamska, gdy dotychczasowi przewodnicy narodu okazali się zbrukani błotem, zwrócono spojrzenia ku Ferremu, który nietylko pozostał czystym, ale niósł za sobą tradycyę twardości. Carnot nie miał odwagi powołać go do ministeryum, ale senat miał odwagę powierzyć mu krzesło prezydyalne. Wybór ten powitała prasa bądź radością, bądź i to przeważnie krzykami zgrozy, które najwymowniej zaświadczyły, jak dalece człowiek ten wzniecał trwogę. Bo przecie nie wszedł on do rządu, stanął tylko na czele „muzeum prawodawczego,“ instytucyi, obdarzonej jedynie prawem veta, która bezpośredniego wpływu na bieg maszyny państwowej nie wywiera. Co najwyżej kierować będzie obradami senatu i rzucać na jego szalę swój jeden głos. Mimo to rozszerzył popłoch. Chociaż wszakże z tego stanowiska nie może on rozwijać żadnej działalności praktycznej, wprowadzenie go na arenę publiczną przekonywa, że Francya zapragnęła ludzi energicznych, do pewnego stopnia łamiących warunki steru nawą republikańską. Po prostu jest to ruch instynktu samozachowawczego. Że on naprzód ujawnił się w senacie, w instytucyi najbardziej konserwatywnej, jest rzeczą zupełnie naturalną. Czy Ferry z tej pozycyi nie przejdzie wkrótce na ważniejszą i bardziej wpływową, zależeć to będzie od dalszego rozwoju wypadków.

Nowe zeznania K. Lessepsa obciążyły jeszcze bardziej Freycineta, Floqueta, a zwłaszcza Clemenceau. Ten ostatni jest już chyba pogrzebany, przynajmniej jako wódz lewicy.

Głosowanie, urządzone w Brukselli i jej przedmieściach nad sprawą rewizyi konstytucyi, dało wynik ustosunkowany do przewagi żywiołów, które w niem uczestniczyły. Zwyciężyły wnioski radykalistów, których w zebraniu było najwięcej, czyli uchwalono, ażeby wyborcą mógł być każdy obywatel pełnoletni. Projekty, ograniczające to prawo bądź wysokością opłaty komornego, bądź stopniem wykształcenia, upadły. W środę rozpoczęły się obrady w zjednoczonych Izbach nad tym przedmiotem, który albo przedłuży z pewną zmianą dotychczasowy stan rzeczy, albo otworzy nową epokę życia politycznego Belgii.

Rząd niemiecki już podobno przygotował swoje wzajemne propozycye co do traktatu handlowego z Rosyą. Ci, którzy potrzebują ze swymi towarami „przeć się na Wschód,“ a więc głównie przemysłowcy, wykazują konieczność ustępstw i z utęsknieniem oczekują porozumienia; natomiast rolnicy pod przewodnictwem Bismarka grzmią i piorunują przeciwko układowi. Jest to zwyczajny, może tylko jaskrawszy od innych, widok walki interesów.

Telegraf otrąbił światu jakieś umizgi między niemcami i młodo-czechami w Austryi. Dotychczas wszakże jest to tylko pogłoska, niemająca nawet wyraźnych cech prawdopodobieństwa.

BADANIA NAUKOWE.

NOWA PRACA KAROLA LETOURNEAU.

Nowa praca K. Letourneau *), poświęcona ewolucyi mitologicznej, jest napisana stereotypowo według planu, przyjętego przez tego badacza w pracach jego poprzednich. Ten sam szemat w ułożeniu materyału etnograficznego według postępującej skali rasowo-kulturalnej, z veddahami i australczykami u dołu drabiny, murzynami, a później mongołami w pośrodku, wreszcie semitami i aryjczykami u góry, służy za podstawę uogólnieniom co do rozwoju wierzeń i poglądów w dziedzinie mitologii. Początków poszukuje autor już w świecie zwierzęcym, a ta okoliczność, iż zwierzęta mają marzenia senne, jest dlań dostateczną wskazówką, że u ssaków wyższych istnieją już zarodki tych pojęć, które zrodziły wśród ludzkości pierwotne pojmowanie wszechświata. Z drugiej strony przenośnie, używane przez poetów tegoczesnych, są zdaniem Letourneau jednem z ogniw szczątkowych dawnego pojmowania, przechowanem wśród obcego im otoczenia. Ów stan pierwotny umysłowości ludzkiej polegał na tak zwanym animizmie, tj. „tem złudzeniu nieokrzesanem, które człowieka słabo rozwiniętego duchowo zniewala do nadawania przedmiotom i jestestwom świata własnych swych pożądań, idej i uczuć.“ Umysłowość podczas okresu pierwotnego stała na poziomie nader nizkim, doświadczenie nie wybiegało po za szranki, w jakich poruszał się człowiek, zmuszony przez warunki do utrzymania swego bytu, zdolności rozumowania i spostrzegania działały w sposób nieudolny, a sam on nie znajdował głębszej różnicy pomiędzy sobą a wyższemi zwierzętami, a nawet niektórymi przedmiotami martwymi. Wszystko, co wywarło nań silniejsze wrażenie, obdarzał on życiem. Cały otaczający go świat był jakby jednem olbrzymiem zwierciadłem, w którem człowiek widział tak lub inaczej przebrane swoje własne stany podmiotowe. Skałom przypisywał on życie wewnętrzne na podobieństwo swojego, piorun, chmura, słońce itd. były równie istotami żywemi. Z tego wątku wspólnego wszystkim gromadom pierwotnym, ludzkość wysnuła, mimo różnic w barwie skóry, budowie czaszki i rysach twarzy, te same poglądy mitologiczne, wszędzie była ona igraszką tych samych złudzeń, na wyjaśnienie zagadek w życiu wewnętrznem i w świecie martwym znalazła wszędzie te same rozwiązania. Słowem, wszystkie rasy wyszły z tego samego punktu, szły tą samą drogą, a jedyna różnica pomiędzy niemi polega na tem, że jedne zaszły dalej po drodze rozwoju mitologicznego, inne zatrzymały się bliżej stanowiska pierwotnego. W tym rozwoju Letourneau wyróżnia kilka szczebli szczegółowych. „Fetyszyzm“ — wyrażenie to jest stosowane przez niego niezbyt trafnie, raczej należałoby powiedzieć monizm animistyczny — jest pierwszem ogniwem w dziejach ewolucyi mitologicznej. Jest to ów stan pierwotny umysłowości, kiedy skałom, piorunom, wogóle najrozmaitszym przedmiotom i zjawiskom świata zewnętrznego przypisuje się właściwości podmiotowe ludzkie i obdarza się je osobną podmiotowością. Zwolna z tego animizmu monistycznego wyłania się inny, dualistyczny. Już proste spostrzeżenie prowadzi do wniosku, że chociaż drzewo lub skały posiadają życie, nie zawsze jednak daje ono

*) K. Letourneau: *L'evolution mythologique dans les diverses races humaines.* Paris.

---

1)

SAM W SOBIE.

(Odczytane i spisane ze skrawków mózgu).

Ależ ja jestem dziecinny, głupi, niewdzięczny przypadkowi, który mnie tu przywiódł! Miotam się, jak zwierz w klatce, której wszystkie ściany są otwarte. Przecież potrzebuję tylko iść ciągle w jakimkolwiek kierunku, ażeby wydobyć się z tej puszczy i trafić na jakąś drogę, która mnie zawiedzie—och!— z pewnością zawiedzie do ludzkiego stada. Otóż nie ruszę się, pozostanę tu, skoro znalazłem siebie, siebie całego. Tak, tu dopiero jestem Jakób Czarski, tylko Jakób Czarski, bez żadnych dodatków. Tam wyglądam jak słup starego zamczyska, na którym było kiep wycina lub wypisuje swoje nazwisko. Tu mogę zeskrobać z siebie te wszystkie napisy. Nie jestem ani kontrolerem kuponów, ani podwładnym Nadymalskiego, ani mężem ciała, owiniętego w jedwab, wełnę i len, a całującego mnie namiętnie w kieszeń, ani ojcem ciałek, stanowiących orkiestrę rodzinną, ani lokatorem Diamantenbarta, tylko Jakóbem Czarskim. Nie—ja tu nawet nie jestem Jakóbem Czarskim, bo mogę zapomnieć, że przed 30 laty zostałem ochrzczony i otrzymałem imię Jakób, że mnie spłodził Izydor Czarski, a urodziła Tekla z Chmurskich. Tu mogę być bezimienny, bezżenny, bezdzietny, bez rodowodu, urzędu, paszportu, metryki, bez żadnych związków, tytułów, opinii przyjaciół i wrogów, jak ten dąb, który nie nazywa się, nie jest zapisany w żadnych księgach i nieokreślony w swych stosunkach do innych drzew. On jest coś, a ja ktoś — człowiek, oderwany od wszystkiego i wszystkich. Ach, jak to dobrze wyłuskać się z tej skóry społecznej! Dusza mi się rozpręża, wyciąga, czuje w sobie swobodny obieg myśli, jak gdyby dotąd była nogą chinki i wyjęta została z drewnianego trzewika. Tu się położę, odetchnę pierwszy raz w życiu nieprzygniecioną piersią. Jakże przyjemnie, błogo... Ha, ha, ha, kręć się tam daleko tumanie ludzkiego kurzu, zgarniaj liście, piasek, badyle — nic mnie nie obchodzisz. A jeśli któryś z twoich pyłków zauważy i zaniepokoi się tem, że Jakób Czarski podczas wyprawy myśliwskiej przepadł gdzieś w lesie — mniejsza o to. On tu leży sobie sam, bezpieczny, spokojny, wyprzężony z wszelkich chomąt, odcięty od wszelkich zależności.

Czego ta sroka tak zaskrzeczała? Zapewne sądzi, że zaczaiłem się na nią. I ona dała mi jakiś tytuł — mordercy. Jaszczurka także uciekła. I ona przypuszcza, że ją chcę zabić. Nie bójcie się, zwierzątka — ani myślę być dla was wrogiem. Używać będę rozkoszy poczucia siebie samego.

Chyba nigdy nie miałem ani godziny takiego wyzwolenia. Pamiętam, wszedłem do pokoju, w którym siedział ojciec ze swoim znajomym. Mój syn — rzekł do niego — uczeń trzeciej klasy. Ani słowa o mnie, tylko o tych, do których należę — o sobie i szkole — jak gdybym sam przez się nie istniał. Pokazując mu swoje cielę, nie byłby powiedział: oto jest moje cielę, przed miesiącem odsadzone od matki i umieszczone w trzeciej przegrodzie obory, lecz: jest to cielę holenderskie, trzymiesięczne, waży 150 funtów i posiada cechy

znać o sobie i tylko wtedy zdradza swoją obecność, kiedy pada i kogoś zabija. Ta okoliczność rodzi przypuszczenie, że nie drzewo samo jest obdarzone podmiotowością, lecz że działa tutaj jakaś istota, poniekąd niezależna od danego przedmiotu, choć z nim stale związana. To pojmowanie dualistyczne, pozbawiające martwą przyrodę własnej podmiotowości i wprowadzające wszędzie sprężyny na wzór istot żywych, doznaje zwłaszcza silnej podniety, kiedy człowiek, na podstawie zagadki snów wypracował teoryę sobowtórów i w nich z biegiem czasu znalazł nieprzebrane źródło do podsuwania pod zjawiska przyrody działaczów sprawczych. Jednocześnie animizm dualistyczny zwolna przekształca się na spirytystyczny, którego najwyższem ogniwem jest panteizm, tj. owo pojmowanie, które całemu wszechświatowi nadaje bytującą w nim i mniej więcej ściśle z nim związaną podmiotowość. Zresztą panteizm więcej jest zbliżony do fetyszyzmu, gdzie fetyszem staje się cała przyroda, niż do animizmu spirytystycznego, a raczej waha się w granicach pomiędzy jednym a drugim. Wraz z ukazaniem się animizmu spirytystycznego występują pierwsze zarodki kultu, które rozwijają się z ceremonij pogrzebowych. Sobowtóry ludzkie po odłączeniu się od ciała są niby istotami zawsze złoczynnemi, a pozostałym przy życiu wiele zależy na tem, ażeby jak najrychlej oddalić ich i jednocześnie złagodzić ich usposobienie nieprzyjazne. To wyzyskiwanie względów odbywa się bez pomocy jakichkolwiek pośredników, taki zaś stan rzeczy trwa mniej więcej dopóty, póki umysł ludzki pojmował sobowtórów nie inaczej, jak w pewnej ścisłej zależności od ich cielesnego podkładu. Atoli w miarę rozwoju umysłowego sobowtóry tracą w świadomości ludzkiej owo podścielisko materyalne i zamieniają się na istoty samodzielne. Następuje nowa faza — animizm mityczny, który dosięga szczytu, wyłoniwszy z siebie pojęcie o centralizacyi wszechświatowej w danym zakresie pojęć. Wraz z tem rola pośredników staje się coraz szerszą.

Taka jest według Letourneau treść ewolucyi pojęć mitologicznych, nakreślona przezeń na gruncie porównawczo zestawionych faktów etnograficznych. O ile jest ona słuszną — naturalnie nie w owem streszczeniu ogólnikowem, które zawsze posiadać może jakąś wartość, ale w drobiazgowszem opracowaniu? Zaznaczmy, że samo zasadnicze twierdzenie socyologa francuskiego, który w całym rozwoju mitologicznym widzi raczej chorobliwy płód umysłu ludzkiego zamiast spostrzegać w nim normalny przebieg myśli filozoficznej, jest już czemś nader opacznem. Takie pojmowanie rzeczy z góry już wykrzywia wszelką analizę głębszą. Tam, gdzie działała potrzeba przyczynowego zgłębienia świata zewnętrznego dla wyzyskania go później na korzyść ludzką, Letourneau spostrzega jedynie brak wszelkiej rozumowej pobudki; pomiędzy dzisiejszą filozofią naukową a wyobrażeniami człowieka pierwotnego wznosi on mur nieprzebyty, wówczas gdy są to tylko różne ogniwa tego samego łańcucha. Naturalnie wszystko to musiało oddziałać ujemnie na pracę badacza francuskiego. Gdybyśmy książce jego nadali tytuł ewolucyi błędów i zboczeń umysłu ludzkiego, byłby to dla niej nagłówek najodpowiedniejszy. Ale posiada ona wady jeszcze inne, daleko znaczniejsze. W żadnem z dotychczasowych dzieł socyologicznych Karola Letourneau słabe strony nie wystąpiły z taką mocą, jak w obecnem. Autor wspomina, iż jest świadom swoich braków, atoli jednocześnie żywi nadzieję, że już tem samem uczynił coś pożytecznego, gdy przyjął taki a nie inny plan zestawienia materyału i że nagromadził pewną pokaźną ilość faktów, uporządkował ją i porównał. Otóż owo zebranie faktów stanowi największą wadę w obecnej książce i odbija przewybornie dążności tegoczesnej nauki do przekładania ilości nad jakość i zapomnienia o tem, iż jeden fakt, należycie zbadany, wart jest tysiąca w nieładzie nagromadzonych. Letourneau, jak wielu innych, zupełnie nie pojmuje, że pierwszą powinnością badacza jest krytyczna ocena źródeł, używanych przy układaniu obrazu rozwojowego. Socyologia znajduje się dotąd wciąż w tem samem położeniu, co dziejopisarstwo dawniejsze, które bezkrytycznie przyjmowało każdą opowieść kronikarską, jako cegiełkę do zbudowania gmachu historyi. Wszystko, co tylko znalazł u tego lub innego podróżnika, bierze L. za dobrą monetę; nadto autorzy, z których stale lub jedynie korzysta, należą do najbardziej podejrzanych. Są to przeważnie dzieła podróżników francuskich, będące zazwyczaj stekiem sądów powierzchownych, opowieści kłamanych lub przesadnych. Dodajmy do tego, że napróżno poszukiwalibyśmy w najświeższej książce socyologa francuskiego wzmianki o jakiejkolwiek istotnie wartościowej pracy źródłowo-etnograficznej. Dla wierzeń murzyńskich istnieje praca A. B. Ellisa, może pierwsza, która z takiem zgłębieniem rzeczy podaje nam ich istotę, Letourneau jednak jej nie zna, a kult afrykański przedstawia w świetle na wskroś fałszywem; prace Callaway'a nad kaframi, takiejże wartości, zna znowu jedynie z ręki drugiej i jeden ustęp przytacza według — Spencera! To też nie dziw, że obdarza nas kilku błahemi anegdotkami o stosunku misyonarzów do tubylców, lecz wcale nie odsłonił rdzenia fetyszyzmu afrykańskiego. Dla Melanezyi i Mikronezyi posługuje się również podejrzanym materyałem i widać, że nawet z imienia nie zna takich dzieł cennych, jak Codringtona o wierzeniach melanezyjskich, a Kubarego o religii pelanczyków. Ustępy o Polinezyi świadczą znowu, że niema najmniejszego pojęcia o owej Sadze polinezyjskiej, która od lat wielu zaprząta uwagę Bastiana. Co do Ameryki uwzględnia starodawne opowieści jezuitów, ale nie korzysta z materyału najświeższego — wydawnictw fundacyi smithsonskiej, biura etnograficznego lub towarzystw antropologicznego i folklorystycznego. Słowem, wszystkie prace, które podają wiadomości najlepiej zbadane, najsystematyczniej ułożone, pozostały mu obce! A nie są to dzieła rzadkie i nieznane, gdyż spoczywają one wszystkie na półkach każdej biblioteki i są wspomniane w dziale krytycznym każdego czasopisma specyalnego. Zważmy nadto, że zagadnienia, które zaprzątają francuskiego socyologa, są od lat wielu przedmiotem nader usilnych i gorliwych poszukiwań i studyów ze strony folklorystów. Tymczasem Letourneau wcale nie wie tego, co zrobiono na tem polu. Książka też jego stoi stanowczo niżej poziomu wiedzy dzisiejszej, a nie tylko nie wnosi do nauki czegoś nowego, ale nie dorosła nawet do tych zagadnień, które znalazły głos w osobie Langa lub Frazera, że nie mówimy o pracach zamorskich. Świeżo wydrukowany w czasopiśmie londyńskiego towarzystwa antropologicznego szkic Tylora o imieniu Istoty najwyższej u ludów dzikich posiada bezwarunkowo więcej znaczenia dla postępu wiedzy, niż książka badacza francuskiego, licząca wszakże przeszło stronic 600!

Rozbierzmy kilka przykładów. Nauka od lat dziesięciu podjęła kwestyę pierwotnego zooteizmu i między innemi zwróciła uwagę na jedną z jego odnóg — totemizm, polegający na tem, że plemienne rody ludzkie w pewnych gatunkach zwierząt widzą swoich krewniaków. Żółwiowcy np. u irokiezów uważają żółwie za swoich krewnych. Z tego poglądu o wzajemnem pokrewieństwie wynika cały szereg zwyczajów, głęboko sięgających w życie gromadzkie człowieka — nie zabijanie przez żółwiowców i niejedzenie żółwiów, noszenie imion, wziętych od właściwości tego zwierzęcia, strzyżenie włosów tak, ażeby przypominały jego wygląd itd. Badacze

---

swojej rasy. Tak działo się zawsze. Dla sióstr byłem jedynie bratem, dla towarzyszów — kolegą, dla służby — paniczem. Kiedy wreszcie wyszedłem z uniwersytetu i rozpocząłem życie samodzielne, zdawało mi się, iż zostanę uznany za istotę odrębną. Wkrótce jednak rzeczywistość potargała mi to złudzenie. Przedstawiony na balu jakiejś pannie, obróciwszy w walcu kilka razy ją koło siebie, a siebie koło niej, wybiegłem do drugiego pokoju, ażeby się ochłodzić. Po chwili słyszę przez kotarę, jak moja tancerka mówi do gospodyni domu:

— Wiem, że Jakób Czarski, ale to mnie jeszcze niczego nie uczy.

— Skończył uniwersytet, bardzo inteligentny chłopiec.

— No dobrze, ale kto on?

— Kandydat prawa.

— Ach, Boże, co za jeden?

— Pomocnik sekretarza w Towarzystwie kredytowem.

— Teraz rozumiem.

Chciałem wybiedz do niej i powiedzieć: A ja nie rozumiem, dlaczego głowa pani nie rośnie na kapuścianym zagonie.

Dziś jeszcze bardziej, niż wówczas, nie dziwię się temu, że uczułem obrzydzenie do życia, w którem, zamiast odzyskiwać, coraz bardziej traciłem osobowość. A przecież, jakże ojciec wytrzeszczył na mnie oczy, gdy mu wyspowiadałem się z tego smutku i poprosiłem go o 200 rs. na wyjazd za granicę dla „odnalezienia siebie.“

— Mój chłopcze (znowu „mój“)—rzekł— ty nie zgubiłeś siebie, ale swój rozum, który istotnie powinieneś odszukać.

Mimo tej przestrogi pojechałem. Łotr konduktor, jak gdyby chciał mi zatruć ostatnią chwilę pobytu w kraju, bąknął na przedostatniej stacyi do nadkonduktora, wskazując mnie:

— Od tego pasażera nie odebrałem biletu, bo ma zagraniczny.

Dla niego byłem tylko pasażerem.

Ryba w wodzie nie oddycha tak lekko, jak człowiek, pragnący być sobą, w zupełnie obcem otoczeniu za granicą. Tam nikt nie wiedział, że jestem Jakób Czarski, syn Izydora i Tekli, brat Wikci i Mani, kontroler kuponów, lokator Diamantenbarta, każdy spotykał człowieka, a gdy z nim porozmawiał, przekonywał się, jakiego człowieka. Nawet gospodyni, u której wynająłem pokoik w Berlinie, dzięki oporowi gardła, które nie pozwalało jej wymówić mojego nazwiska, nie oznaczała mnie żadnem mianem. To też błogo mi było w mojej bezimienności i beztytułowości. Doznawałem upajającej rozkoszy, rozmawiając przez kilka godzin w galeryi poczdamskiej z jakimś niemcem. Ale on nie wytrzymał.

— Jestem już zmęczony—rzekł— chodźmy do poblizkiego ogródka, tam przy piwie dokończymy naszej gawędy.

— Dobrze — odparłem — ale pod warunkiem, że obaj nie wymienimy między sobą wzajemnych meldunków. Ja nie chcę wiedzieć, jak pan się nazywasz i kim jesteś, a pan nie pytaj mnie o to.

Jak on na mnie spojrzał naprzód ze zdziwieniem, a potem z podejrzliwością!

— Przyjechałem tu, ażeby obcować z ludźmi tylko jako z ludźmi.

Zdawało mi się, że w oczach jego wyczytałem uwagę: albo łotr, albo dostojnik, podróżujący *incognito*. Poszedł jednak na piwo i rozprawiał ze mną chętnie, a nawet przy pożegnaniu wyraził pochwałę dla mojej inteligencyi. I byłaby nasza znajomość rozwinęła się bardzo ładnie, gdyby był nie zwierzył się z niej swoim przyjaciołom i gdyby oni mnie nie zaczęli obserwować

oddawna zajmują się wyjaśnieniem rodowodu i początku totemizmu, a lubo dotąd nie osiągnęli celu, wydali kilka prac nader cennych. Tymczasem w książce Letourneau naprożno o tem wszystkiem poszukiwalibyśmy jakiejkolwiek wzmianki — sprawa totemiczna dla niej nie istnieje. A jest to tem dziwniejsze, że jedną z prac, Owena Dorseya, dostarczającą nader cennego w tej mierze materyału, przytaczał już poprzednio L. w którejś ze swoich *Ewolucyj*. Podobnie nie spostrzegamy najmniejszych śladów owej filozofii zootcistycznej, którą w różnych miejscach Ameryki północnej odkryli uczeni fundacyi smithsońskiej i biura etnograficznego, a skutkiem tego cały kult i praktyki czarodziejów amerykańskich oraz ich organizacya pozostały tajemnicą dla autora, jakkolwiek już w pierwszem dziele Morgana z przed lat 50 zostały skreślone główne zasady. Przejdźmy do innego zagadnienia. Spencer dał teoryę sobowtorów, którą Letourneau przyjmuje bez zastrzeżeń — o ile chodzi o rodowód samego pojęcia. A jednak owa teorya nie daje nam wyjaśnienia kilku ciekawych zjawisk. Na całej przestrzeni Afryki murzyńskiej panuje wiara, że człowiek posiada dwie dusze, to samo przekonanie istnieje w Indo-Chinach, na w. Fidzi i w N. Irlandyi, zdaje się i u rzymian, a według wszelkiego prawdopodobieństwa jest jeszcze ogólniejszem, bo z danych dotychczasowych okazuje się, iż misyonarze z niewiadomości stale zacierają różnicę pomiędzy jedną duszą i drugą. W Ameryce północnej istnieje wiara w cztery i nawet ośm dusz; ze śladami podobnego mniemania spotykamy się też u koczowników stepów azyatyckich. Otóż zagadnienie to nie istnieje dla Spencera, chociaż same fakty już były znane, kiedy on pisał tom pierwszy swojej *Socyologii*. Od tego czasu dużo wody upłynęło i kto dzisiaj studyuje surowy materyał etnograficzny, nie tylko zrozumie początki wspomnianego powyżej wierzenia — z wyjaśnień samych wyznawców, ale nadto pojmie, że pierwotny człowiek tak a nie inaczej musiał rozumować i że pogląd o posiadaniu wielu dusz jest logiczniejszym dla umysłu pierwotnego, niż jakikolwiek inny. Trudno żądać, aby Letourneau był tego zdania, atoli mamy wszelkie prawo wymagać, ażeby wspomniał o samych tak rozpowszechnionych wierzeniach. Toż samo i w zakresie wielu innych zagadnień.

L. K.

PRZYCZYNEK DO LUDOZNAWSTWA.

Erazm Majewski, *Wąż*. Materyały do folkloru.

Wyraz pochodzenia angielskiego, *folklor*, dosłownie oznaczający wiedzę o ludzie, ludoznawstwo, znajduje się obecnie w okresie początkowań i luźnych, nieujętych w całość teoretyczną poszukiwań; podstawy i linie wytyczne nie są należycie i metodycznie określone. Nie jest to jeszcze nauka we właściwem tego słowa znaczeniu, najbardziej rozważni badacze wystrzegają się hipotez śmiałych i ogólnych, najczęściej jednak zdradliwych, nie kuszą się o rozstrzyganie napotykanych zagadek, lecz zestawiają tylko i krytycznie sprawdzają materyał, lub też gromadzą przyczynki, budują fundamenty, pozostawiając następcom swym stworzenie rozległego gmachu teoryi, całokształtu uogólnień. Do takiej roboty nadają się umysły metodyczne, systematyczne, wzdragające się przed wysokimi lotami i bujaniami w słonecznych kręgach myślenia. Z drugiej jednak strony taki charakter środków badawczych, a także natura i zakres zagadnień i stosunków, wogóle cały ten splot zjawisk, podległych dochodzeniom ludoznawstwa, przyciąga i wabi liczną kategoryę luzaków, zapatrujących się na badania ludoznawcze, jako na pewien gatunek sportu, lub też jako na zaspokojenie manii zbierania szczegółów i ciekawych kawałków. Garną się więc do tego natury bierne, niezdolne wychylić się po za ciasny widnokrąg ideologii tradycyjnej, które nie wyjrzały nigdy na świat z po za firanek najbliższego otoczenia, traktujące zajęcia te jako dodatkowe do swych zwyczajnych zatrudnień, organizacye pół-artystyczne, spragnione wrażeń i jakiegoś krzątania się. Nie wszyscy jednak stąpają na gruncie faktów pozytywnych, nie wszyscy wyznaczają sobie dziedzinę niezbyt przestroną, którą należycie uprawiać mogą. Wielu, nieobeznanych ze współczesną metodologią wiedzy, całkiem pochłoniętych zjawiskami i stosunkami umiłowanej sfery, nie potrafią wznieść się do pojęcia objawów, jako łącznej całości, nie mogą uchwycić prawa wewnętrznej konieczności i spółzależności stosunków, a raz wsiadłszy na konika metody porównawczej, harcują na nim swobodnie, czynią całkiem dowolne przypuszczenia i zestawienia, snując hazardowny wątek domysłów i mniemań. *Folklor* jest tylko gałęzią socyologii; dojść on może do wyników naukowych, wyjaśniających rodowód i przebieg rozpowszechniania się i przemiany podań, legend, wierzeń, pieśni, baśni, symboliki itd. tylko wtedy, gdy zostanie wykryte i ujawnione oddziaływanie otoczenia żywego i martwego na duchowość ludzką, kiedy poznane zostaną prawa psychologii zbiorowej.

Pan E. Majewski z wykształcenia jest przyrodnikiem, pozwala to już z góry przypuszczać umiejętne wzięcie się do rzeczy, przestrzeganie metody pozytywnej, unikanie wywodów i wniosków wyższej kategoryi. W badaniach ludoznawczych nie wystarcza już obecnie płytki racyonalizm, dopatrywanie się w wierzeniach i mniemaniach prostaczych bezładnej osnowy majaczeń dziecinnych i zabobonów bezkrytycznych. Lud bezwiednie ulega oddziaływaniom środowiska, nie określa jednak i nie gatunkuje tych współczynników i nie sprawdza źródeł swej wiedzy. Rzucają mu się przedewszystkiem w oczy objawowe formy stosunków, zatajonych w swym rdzeniu dla myślenia potocznego. Poglądy takie i wierzenia powstają w umyśle samorodnie i bezpośrednio. Ale nauka może w nich wykryć pewien ład wewnętrzny i konieczną współzależność. Wybór metody, a raczej układ dzieła odgrywa niemałoważną rolę w tym razie. Jeśli będziemy przyznawali takim pracom tylko wartość bogatego zbioru dokumentów ludoznawczych, w którym przyszły badacz powinien znaleźć każde podanie, wchodzące w zakres jego poszukiwań, wówczas należy oddać pierwszeństwo układowi etnograficznemu formalnemu, unikać rozumowanego. P. M. zakreślił swej pracy bardzo wązkie szranki i utrzymał się w nich bardzo gorliwie. Materyał przez niego zebrany jest obfity i różnostronny.

Wąż w wyobraźni ludowej został obdarzony ludzkimi popędami i skłonnościami; naiwna teorya celowości wyznaczyła mu rozmaite zadania w świecie ludzkich dążeń i zabiegów. Chociaż lud miesza wszystkie gatunki wężów w jeden, obawia się ich i srodze prześladuje, nie wykazuje wszakże w tej mierze sądów zgodnych. W poglądach jego wąż jest niewdzięczny, zły, chytry, fałszywy, z drugiej strony—roztropny, mądry, nietykalny. Szczęśliwy ten dom, gdzie on się znajduje. Naiwna wiara w przekształcenia przewija się barwną nicią we wszystkich zapatrywaniach ludu. Wąż dosyć łatwo ulega rozmaitym przeobrażeniom, gdy usłyszy dzwony wyrasta mu głowa, a gdy ma ich 7, przemienia się na smoka; wąż, na którego człowiek spojrzał, przestaje rosnąć. Zabity rusza się do zachodu słońca, umiera dopiero potem, pocięty, może się zrastać. W wyobrażeniach

---

w knajpie, gdzie ze mną spędzał parę godzin. Uciekłem z Berlina, bo musiało wyjść na jaw, że jestem Jakób Czarski, kontroler kuponów itd.

W Hadze siedziałem tak bezimienny, jak każdy z serów leżących tam na olbrzymich kupach. Byłoby mi tam lepiej, niż krabowi na dnie morza, gdyby...

Czyż ciągle mam cierpieć przy tem wspomnieniu? Czy nawet wtedy, gdyby niedogaszona przez śmierć iskierka życia roztliła się przypadkiem w moich popiołach i gdybym po stu latach leżenia w grobie odzyskał na chwilę świadomość a z nią pamięć, czy i wtedy to wspomnienie byłoby dla mnie bolescią? Dziwnie mściwa jest miłość. Ona swej krzywdy nigdy nie zapomina i nie przebacza. Nie pozwala czasowi zagoić swojej rany, otwiera ją i pogłębia coraz bardziej, zjawia się widmem podczas każdego wesela i mówi ze strasznym wyrzutem: ty się śmiejesz? Jeżeli kochałem a los przygniótł i rozmiażdżył brutalną stopą moje serce — powinienem jeszcze za to cierpieć? Odejdź stąd, nielitościwa maro, ja w tem pustkowiu chcę być sam z sobą, zupełnie sam! Znęcasz się nade mną, jak gdybyś była upiorem zamordowanej przeze mnie ofiary, a przecież ja pragnąłem tylko obdarzyć ją wszystkiem dobrem, na jakie miłość moja zdobyć się mogła. Ach, czemu to uczucia nie przesuwają się przez naszą duszę, jak te białe obłoczki po niebie! Płyną i znikają, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów — wspomnień.

Na pozór wydaje się to najpospolitszą i powszechnie wykonywaną regułą: trzeba chcieć. Bo wszakże wszyscy ludzie czegoś żądają i do czegoś dążą. Tymczasem chcieć istotnie, nie zrzec się swego pragnienia wobec żadnej woli, usiłować przebić niem wszelki mur, ginąć w walce z ostatniem jego słowem na ustach, chcieć dopóty, dopóki życia starczy lub dopóki cel nie zostanie osiągnięty — umieją tylko natury wyjątkowe. Większość ludzi uczuwa i wyraża swe zachcenia jak dzieci, którym dość zaprzeczyć, pogrozić na nosie lub pokazać rózgę, ażeby odstąpiły od swego zamiaru i zapomniały o niem. Silną i niezłomną wolę mają tylko bogowie lub ich wcielenia na ziemi, jest ona tak nieczłowieczą, jak wszechmoc.

I ja chciałem, ale marnie, miękko. Nie jak sztylet, który przebija wszystko, dopóki na twardym oporze się nie złamie, ale jak szparag, który włazi w otwarte usta, a na zamkniętych się zgina. Gdybym był miał hartowniejszą wolę, z pewnością byłbym okaleczył kogoś i siebie, ale doznał przyjemności bólu. Głupcy! Lubimy jeść chrzan, paprykę, gorczycę, które nas szczypią w język, ale sprawiają zadowolenie, a nie umiemy zadać sobie wielu bólów roskosznych. Mam na swe usprawiedliwienie tylko jedno: miłość serc małych i płytkich rodzi się odrazu dojrzała i rostropna jak dzikie kaczę, które z jajka wypływa na wodę; miłość serc wielkich i głębokich rodzi się jak bezradne i niedołężne niemowlę, które musi być pielęgnowane i karmione. Człowiek zakochany to robak w podnóżu góry, którą probuje podnieść. Wie on, co należy zrobić uczuciem, ale nie wie, jak użyć rozumu. Wtedy zawsze powinien sobie pożyczyć cudzego. Ja miałem tylko swój własny.

Ile to tajemnic kryje się w jednej wymianie spojrzeń ludzkich! Nie patrz na mnie maro, zlituj się!..

(D. n.)

ludu węże posiadają wielką moc. Zsyłają one grad na ludzi, rozgniewane lub obrażone sprowadzają różne nieszczęścia, śmierć matki. Oczy ich pomagają złodziejowi przy kradzieży. Według ludu, źródła pochodzenia wężów są wielorakie; powstały one ze straconych aniołów, albo też że smoka, który pękł, z jaszczurki z jej odłamanego ogona, lub też z ogona kociego etnmonity, wykopywane pod Wieluniem, lud nazywa wężami zaklętymi.

Z takich podań dokładnie możemy się przekonać, jak pierwotną i naiwną jest świadomość umysłowa ludu. Przypadek, jakieś mistyczne zrządzenie o wszystkiem rozstrzyga i decyduje. Kto ujrzy przed św. Wojciechem węża z błyszczącą koroną, spodziewać się może w życiu nadzwyczajnego szczęścia. Wąż może być tworem ludzkiego szczęścia. Pomaga biednym, lecz uczciwym. Prześladuje on ludzi niepobożnych i nieuczciwych. Nie tylko on sam posiada właściwości nadzwyczajne, lecz także przedmioty, których dotknął, nabierają tego charakteru; kij np. którym go zabito, otrzymuje własności niezwykłe. Wąż prześladuje czasami niewiasty swą miłością. Otóż kobieta powinna nosić przy sobie pewne zioła, a wtedy wąż przyleciawszy w zaloty, musi się wrócić. Krowa przyzwyczaja się do węża, lubi go, tęskni, ryczy za nim. Umysłowość ludowa wszędzie widzi tajemnicze siły i sprężyny. Niektórzy tylko ludzie mogą posiąść nieograniczoną władzę nad wężami. Znajdują się „niesamowici", którzy jedzą węża na przekąskę, i to żywego po wódce. Mają oni władzę zwoływania wężów i zaprzęgania do rozmaitych posług. Na zjawiska przyrodzone żywcem przenosi lud uczucia i wierzenia, poczerpnięte z ciasnego światka swych myśli. Widząc meteory, sądzi, że wąż przenosi skarby a zaśmiać się wówczas nie można, bo spali śmiejącego się z dobytkiem.

Węże, jakby istoty świadome i obdarzone wolną wolą, znajdują się pod wyrokami sprawiedliwości bożej. Wąż, lub żmija, które ukąsiły człowieka, nie chowają się na zimę, ale zostają z rozkazu Boga i muszą czołgać się póty, dopóki ich kto nie zabije. Fantazya ludowa najwyższych dosięgła lotów i największego rozbujania w zakresie podań i gadek o królu wężów, złotogłowcu. Liczne legendy opiewają walki, jakie staczali dzielni junacy w celu zdobycia złotej korony tego króla. Podania o smoku także należą do tej kategoryi.

Bronisław Chrz...ski.

LITERATURA I SZTUKA.

WALT WHITMAN.

Leaves of grass. — Specimen days in America. — Panteizm Whitmana i Shelleya.

Proszę sobie przedstawić niewinnego kolosa antidiluwialnego, który tłucze ogonem fale brzmiące i świetlane, wyrzucając olbrzymie fontanny wodne w oblicze młodego słońca — takie jest najogólniejsze wrażenie, które sprawia Whitman w swych poezyach. Jeden z najbardziej konsekwentnych panteistów podlega on jakiemuś rozkosznemu zachwytowi bytu, prąd sympatyi wylewa się z piersi jego na całą naturę, rośliny, zwierzęta i ludzi. Wszyscy mężczyzni to jego bracia, wszystkie kobiety — siostry i zarazem kochanki. A całość bytu w jego widzialnych i ukrytych tajemnicach jest dlań Bogiem, przed którym bynajmniej się nie korzy w drżącym strachu, ale staje raczej w zdumieniu i radości. Jest ciągle zadowolony, ale zadowolenie to nie ma w sobie nic trywialnego, będąc czemś w rodzaju greckiej radości życia, tylko mniej artystyczną, niż grecka, ale za to obszerniejszą, bardziej pierwotną i żywiołową. Zadowolenie z bytu jest stanowiskiem zupełnie uzasadnionem, również jak jest niem stanowisko wprost odwrotne, o którem nasz panteista wciąż zachwycony zapomina: słońce przemieniło się na stary, spalony żużel, tlejący na brudnem niebie pod cienką warstwą popiołu i oblewający krwawem zarzewiem ponure południa ziemi, przykrytej szczelnie wysokimi cyplami zielonych lodów i pozbawionej człowieka, który znowu powrócił do pieczar, aby się grzać przy resztkach węgla; kula ta będzie sobie wirować po zwykłym swym obwodzie, dopóki, napotkawszy przeszkodę, nie rozpryśnie się w proch i znowu będzie głucho w przestrzeni po tym dawnym „panu świata," który wyobraża sobie, iż natura jest stołem specyalnie zostawionym dla jego uczty, a gwiazdy — to lampki mające mu ją oświetlać. Zadowolenie Whitmana z człowieka wzbudza natomiast przypomnienie, iż umysł nasz przybiera niechcący jakąś ironiczną, niedowierzającą pozę wobec wszelkiego czynu ludzkości a nawet uczciwości, a wyprostowuje się i powraca do porządku dopiero wówczas, gdy gescheft i egoizm wysuwają swe pazury.

Ale, jak rzekliśmy, poeta ma prawo być zadowolonym, byleby nie był trywialnym, a Whitman wcale nim nie jest: ratuje go w tym względzie jego żywiołowy panteizm. Wylewa się on w pieśń pre-adamiczną ciała, w kult formy i koloru, w apetyt rozkoszy płciowych, w uwielbienie aktu rozrodczego. Tylko — na miłość prawdy!— proszę sobie nie wyobrażać jakichś sprośnych i bezecnych piosenek. Od czasów Anakreonta nikt z większą szlachetnością struny tej nie zatrącał. Życie jest dla naszego poety boskie, niechaj więc źródła jego wrą i buchają, niczem niehamowane. Whitman wskrzesił echo kultów phallicznych: Bachus, otoczony przez faunów, nimfy i bachantki znów kroczył na zwycięzkim rydwanie, a wesołe i naiwne okrzyki klasycznej zmysłowości znowu uderzyły w niebiosy. Znana hypokryzya anglików i yankesów, przykrywająca ohydną zgniliznę, oburzyła się na ten szlachetny bezwstyd niewinności. Obłuda świętoszków, znajdująca ujście w cudzołóstwie i domach publicznych, poruszyła się z wściekłością. I może miała racyę. Jacyśmy wszyscy charłaki duchowe. Czyż świat piękna i półbogów zniknął bezpowrotnie? Ibsen, marząc chwilami o jego wskrzeszeniu, zawsze marnie spada w swych polotach. Jego Julian Odstępca *), który stara się marzenie to urzeczywistnić, powiada w rozpaczy po dokonanym obchodzie starogreckim: „Czyż w tem było piękno? Gdzież tu były starce o siwych brodach? Gdzież były czyste dziewice z zawiązkami na czole, o wdzięcznych ruchach, skromne śród szału tańca? Tfu na was, dziewki!.. Gdzież się podziało piękno? Czyż cesarz nie może rozkazać: powstań! I czyż powstała? Precz z tym cuchnącym nierządem! Co za twarze! Wrzody na ciele i wrzody na duszy! Tfu, tfu!"

Po wypuszczeniu pierwszego zbioru swych poezyi, „Listki trawy," Whitman stracił natychmiast skromny urząd, który mu dawał utrzymanie, ale za to Emerson— a jego nikt o niemoralność nie posądzi — orzekł, iż zbiór ten jest utworem genialnym i „najwyższym przejawem inteligencyi i sztuki, jaką Ameryka dotychczas wydała." Ciało jest dla Whitmana częścią „duszy powszechnej": wzbudza ono w nim radość bez grzechu i upojenie bez złej myśli. Zauważmy przytem, iż autor po bratersku zachowuje się wobec cierpienia i dał dowody współczucia dla jego ofiar nie tylko w pismach, ale i czynie. Podczas wojny domowej spełniał z gorącem poświęceniem i narażeniem życia urząd siostry miłosierdzia: przez ręce jego przeszło koło stu tysięcy rannych, których otaczał miłością i opieką. Ale tu musimy wskazać jeszcze jeden rys panteizmu Whitmana: ubóstwia on zło na równi z dobrem nie dla tego, aby uważał pierwsze za pobudkę walki dla ostatecznego zwycięztwa cnoty, ani też za glebę, na której dobro ma z czasem wyrosnąć; nie, on w swym zachwycie wszechbytem stawia tron Ormuzda obok tronu Arymana i obydwa uwielbia w równej mierze. Jest to bezgraniczne upojenie kosmosem, w jego jasnych i ciemnych stronach. Ta rażąca sprzeczność może być objaśniona tylko wymogami natury czysto artystycznej. Panteizm Whitmana ma charakter różny od Shelleyowskiego. Ten ostatni ogarnia wspólnem tchnieniem miłości świat cały, mając ścisłe znaczenie piękna i dobra. Wyzwolenie *Prometeusza* jest zarazem tryumfem harmonii powszechnej, która obejmuje wspólnem kołem nie tylko ludzi, ale i przyrodę całą, nie wyłączając nawet „gadów i ropuch."

Trzeba było jednego z największych geniuszów ludzkości, aby dobywać tak wysokie tony bez śladu fałszu. Pozostajemy oczarowani czystemi, jak kryształ, strugami miłości. Shelley dotarł moralnie do tych szczytów niebotycznych, do których żadna myśl ciemna nie ma już dostępu i o które ocierają się już tylko modlitwy, dążące z serc czystych. Estetycznie wszakże pozbawia on lirę poezyi połowy jej strun. Niestety, estetyka nie zlewa się całkowicie z etyką, są to dziedziny pod wielu względami odrębne. Egoizm stanowi materyał artystyczny w niemniejszej mierze, niż sympatya. Wprawdzie i Shelley nie wypędza zła ze swej ostatecznej harmonii wszechświata, on je tylko rozbraja i każe dobrowolnie podporządkować się ogólnej sympatyi. W ostatecznej apoteozie Prometeusza nawet gady i ropuchy spoglądają z miłością na człowieka. To znaczy pozbawić je żądła i jadu, ale zarazem i tego czysto estetycznego charakteru, który tygrys posiada tylko jako tygrys, a boa, jako boa. Zrobić z nich baranka i upiększenie szyi dam, to bardzo dobrze, ale... Weźmy inny przykład. Na złych scenach w ostatnim akcie *Fausta* Gounoda Mefisto klęka i korzy się ze skruchą, czem czyni się niezawodnie zadość nabożeństwu dusz cnotliwych, ale co psuje zupełnie Mefista, jako Mefista. Na Hekatę! Nie oddałbym go za całe stado beczących do raju owieczek! Jest to błąd, który, może właśnie pod wpływem Shelleya, popełnia Guyau, twierdząc, iż sztuka jest wyrazem tylko sympatyi i uspołecznienia. Trzeba byłoby w takim razie wykreślić z jej historyi połowę najsławniejszych kart. Rzadko znajdziecie człowieka, który zachwycając się np. *Manfredem*, nie pokiwałby zarazem głową z wyrzutem, uważając go za jakieś *qui pro quo.* Znaczy to nie rozumieć Byrona i zapominać, iż są natury anti-społeczne, które w tym kierunku mogą być także wielkiemi, jak inne — w odwrotnym. Zresztą, wielki poeta, chociażby natury anti-społecznej, jest pożyteczny już tem wstrząśnieniem, które wywołuje, tą masą niezużytej energii, która za jego pobudką w ludziach się wyładowywa i która już przez innych może być skierowana w stronę dogodną dla ogółu. Tak olbrzymi potok, spadający z straszną siłą i pustoszący miejscowości całe, jest zarazem zbiorowiskiem siły, która może wprawiać w ruch masę przyrządów i maszyn pożytecznych. Któż ośmieli się twierdzić, iż Byron byłby pożyteczniejszy, gdyby był typem społecznym? Pytanie, czy wówczas mógłby wyzwolić tyle energii, ile jej swym egoizmem wyzwolił. Manfred był z tych, co nie mogą

*) Kaiser und Galiläer. Część II. Akt I.

ominąć głowy Meduzy i są skazani spoglądać jej prosto w oczy! I my go kochamy takim, jakim jest.

Wróćmy wszakże do strony czysto estetycznej: jest ona gruntem, na którym można łatwo wszystkie te sprzeczności pogodzić. Jeżeli my możemy się zachwycać mszą, zwłaszcza gdy jest Beethovena i dobrze odśpiewana, nie wdając się wcale w jej społeczne znaczenie, to możemy od wierzących — w cokolwiekbądź zresztą — żądać takiej samej pobłażliwości dla utworów, któreby były zupełnie sprzeczne z ich wiarą. W sztuce wszystkie kierunki są dobre, byleby były istotnie piękne. Musimy więc przyjąć i dekadentów i Nietzschego, chociażbyśmy ich uważali za chorobliwych a nawet szkodliwych. Renan, mówiąc o Petroniuszu, który był „magister eloquentiae“ u dworu Nerona, sądzi, iż świat byłby uboższym estetycznie, gdyby się składał tylko z cnotliwych ociężałców. Jest to, zdaniem naszem, powód, który skłaniał i Withmanna do oddawania hołdów złu na równi z dobrem, jakkolwiek nie sposób kwestyonować zupełnej prawości charakteru tego pisarza. Powiedzmy więcej, panteizm jego przybiera kształty prorocze i wyraża się po największej części w hymnach, głoszących ideały dobra, piękna i prawdy. Forma tych hymnów jest nadzwyczaj oryginalna, często swojska, o której my w Europie pojęcia nie mamy. Zawiera ona obok wysokich polotów i poetycznych obrazów nadzwyczaj pospolite szczegóły i realne, prawie techniczne opisy. Autor nie goni za wyrazem rzadkim, nie dba o kompozycyę, ale za to mamy u niego jakieś wielkie tchnienie liryzmu barbarzyńskiego, powiew puszcz dziewiczych, młodości i świeżości. Zresztą Whitman ma na widoku nie tyle cele artystyczne, ile filozoficzne i społeczne; nie chodzi mu o wyrzeźbienie oddzielnych wrażeń, ale o napór całych ich tłumów, i tłumów myśli i uczuć — w takich razach prozaiczność szczegółów nie szkodzi poezyi całości, która zależy tylko od potęgi duszy autora, a ta posiada rzeczywiście coś żywiołowego. Czytając Whitmana, nie będziecie, rozumie się, mieli tych uczuć, których dostarcza „Prometeusz“ Shelleya, pisany na kolosalnych ruinach kąpieli Caracalli, pokrytych dziką roślinnością, śród szczątków przebrzmiałych religij, z widokiem na cmentarz historyi; daje on nam natomiast wrażenie jakiejś rozległości i nieograniczonej swobody, nieskrępowanej żadną tradycyą. Toż samo powiedzieć można o ideałach. Poemat Shelleya ma wszechświat za teatr, pierwiastki za aktorów i człowieka za bohatera, a często zapał natchnienia rozdziera ramy sceniczne i obraz ginie w bezbrzeżnej przestrzeni. U Whitmana mamy daleko skromniejsze horyzonty demokraty, marzącego o doskonałem ludowładztwie i szczęściu ojczyzny. Z tem wszystkiem Whitman jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli poezyi filozoficznej i głównym poetą narodowym Ameryki. Umarł w końcu zeszłego roku, wysoko ceniony w Stanach i w Anglii.

L. W.

LITERATURA RUSKA.

Włodzimierz Korolenko. *Szkice i opowiadania*, książka druga. Moskwa 1893.

I.

Autor ten należy do rzadkich szczęśliwców, zajmujących odrazu wybitne miejsce w literaturze beletrystycznej. Działalność jego na tej niwie datuje się dopiero od lat ośmiu, napisał względnie nie wiele i tą garstką utworów zdołał zyskać sobie szczere uznanie ogółu ukształconego. Obecnie nowy zbiór „Szkiców i opowiadań“ jest uzupełnieniem szeregu poprzednich postaci i obrazów, rozsnutych na tle dalekiej północy i szerokich obszarów Małorosyi. Artyzm i prostota, to są dwie zasadnicze cechy talentu Korolenki. Odtwarza on życie z najdokładniejszą ścisłością takie, jakiem ono jest w istocie, bez najmniejszej domieszki barw sztucznych, bez efektów. Pomimo wszakże wybitnie zarysowującego się realizmu, opowiadania jego nie są oschłe, protokularne, przeciwnie — drobne obrazki rozgrzewa bogaty zasób uczucia, bez względu na to, czy są na podściełisku surowej zimy syberyjskiej, czy zamaszystej bujnej natury prowincyi południowych. Nie należy on do autorów tendencyjnych, jest tylko artystą niepospolitym, nie ujawnia wyraźnie swej sympatyi lub wstrętu, a jednak dobór obrazów i ich tła jest sam przez się tendencyjny. W tem właśnie tkwi największa siła jego twórczości. Los go zetknął przeważnie z tymi, których układ warunków dzisiejszych wykluczył z koła sytych, pozwolił im zbierać okruchy lub zająć szary kącik używania dóbr ziemskich. Korolenko jednak ich nie faworyzuje, nie umywa i nie ubiera odświętnie; podpatruje ich w najpospolitszych chwilach życia, obok cech dodatnich ciska na przeciwległą szalę wszelkie rysy ujemne i tym sposobem pozostawia czytelnikowi podział uczuć: obdarzania bohaterów sympatyą lub odrazą. Malutkie, pokurczone postacie, upadające pod brzemieniem niepowodzeń, chwilami wyrastają na olbrzymów, przy uczuciu i sumieniu stępionem, przy ambicyi wytartej szorstkiemi warunkami. W tych jednak sercach obolałych aż do znieczulenia bywają miejsca wrażliwe, których dotknięcie wywołuje potok uczuć zastygłych i długo drzemiących gdzieś w głębi. W znarkotyzowanej cierpieniem duszy błyśnie czasem niespopielona jeszcze iskierka. Takie momenty autor lubi podpatrywać, a czyni to tak zręcznie, bez wysiłku, mimochodem. Jedzie wzdłuż Leny do Irkucka z towarzyszem goszcćiarzem, którego marzeniem jest „stać się naraz człowiekiem“ (tj. porość w pierze wielkiego dobrobytu) i oto stacya At-Dawan śród skamieniałej natury pod działaniem 40-stopniowych mrozów, jest właśnie punktem obserwacyjnym, dającym możność poznania takich postaci skarlałych i zgarbionych. Rozgrzany herbatą i kieliszkiem, pisarz stacyjny odsłania przed podróżnymi cały swój dramat życiowy. On by tu nie marniał; na wielkim świecie uśmiechała mu się karyera i — kobieta, którą pokochał, nie chciał jej ustąpić swemu pracodawcy i wpakowanemi weń dwiema kulami rozstrzygnął losy. Nie jest to jednak bohater o charakterze hartownym. Przeciwnie — drobna trzcinka, słaba dusza służalcza, zdolna nawet do tego, ażeby na rozkaz swego pryncypała wsiąść z nim do karety i jechać do własnej narzeczonej w charakterze jego ...swata. Byłby nie strzelił, gdyby jego wróg na chwilę tylko odwrócił się od panny i spojrzał nań surowo. Możeby pokornie wyszedł na rozkaz, lub, jak mu na widok tchórzostwa sarkastycznie radziła oblubienica, został lokajem jej nowego konkurenta. Nie postąpił nawet po rycersku: strzelił ukradkiem z kąta.

Po olbrzymim trakcie syberyjskim na przestrzeni 3,000 wiorst, poczta przebiega raz na tydzień, zimą w ciągu 19 dni, latem—dłużej. Na tej jedynej arteryi, dowożącej okruchy cywilizacyi i kultury ludziom rozrzuconym po pustkowiach, przesuwa się mnóstwo postaci, podobnych do owego pisarza, tylko jeszcze bardziej skurczonych, bardziej przybitych, skostniałych od mrozu i troski. Są to roznosiciele słabych promyków światła i ciepła; rozwożą kalendarze i malowidła, dla odegnania zaś smutku dostarczają mieszkańcom oderwanym od świata — wódkę, którą i sami się krzepią po drodze, bo bez tego, w lichej odzieży zginęliby od mrozów surowych. Jednakże ta obumarła natura, ścinająca krew w żyłach biedaków, jest wspaniała, imponująca w obrazach Korolenki; jego dusza, pełna uczucia i poezyi, ożywia nawet martwe przedmioty, co się udaje tylko wyjątkowym talentom:

„Cały już tydzień, patrzę na smugę bladego nieba między brzegami wysokimi na białe pochyłości z rąbkami żałobnymi, na rozpadliny, tajemniczo wypełzające gdzieś ze stepów tunguskich, na przestwór wielkiej rzeki, na chłodne mgły, które się ciągną bez końca, zwijają się, rozchylają, tłoczą się na skrępowanych skałami zawrotach i cicho dają się pociągać przez paszcze rozpadlin, jakgdyby fantastyczna armia, idąca na łoże zimowe. Cisza nęka duszę. Tylko czasami na rzece ciężko jęknie lód pękający, zaświszcze jak granat przelatujący; głos ten odbije się echem, jak wystrzał armatni, pomknie gdzieś daleko po za nami w puste skręty Leny i długo jeszcze dzwoni odgłosami i kona, niepokojąc wyobraźnię dziwnym rodzącym się na nowo jękiem oddalonym...“ A oto wrażenia na pustkowiu — stacyi: „Rzeka, zawalona białą masą lodu, lekko się iskrzyła pod działaniem srebrzystego i smutnego światła księżyca. Na tamtym brzegu, odległym o wiorst cztery, legł gęsty nieokreślony cień, w dali niejasno majaczyły się nadbrzeżne wzgórza, pokryte lasem, daleko, daleko wzdłuż skrętów Leny... Robiło się i ciężko i smutno na widok tej olbrzymiej pustyni lodowatej. Poczta — trzy trójki — ruszyła, dzwonki zrazu jakoś bezładnie i gwarnie odezwały się pod mojemi stopami, jakgdyby dodając wzajemnie otuchy. Każdy dzwonek mówił po swojemu; przestrzeń zmniejszała tylko siłę nie zaś jasność dźwięku. Potem wszystko znikło naraz, tylko nagromadzone bryły lodu z fantastycznym chaosem iskrzyły się i wzgórza drzemały w cieniu i jakieś niejasne widziadła przesuwały się na dalekich brzegach...“

W tej ponurej, zastygłej przyrodzie, pognębiającej majestatem swej surowości, drga życie, budzi się i rozściela fantazya tubylców, przystosowana do otoczenia, rozlegają pieśni o bohaterach miejscowych o strasznym kuryerze — Arabyn-tojonie. Pieśniarski język Jakutów zrodził się gdzieś, w nieznanych głębiach Azyi środkowej, skąd przy mieszaninie ludów jakiś nędzny odłam zabrnął na puste obszary północno-wschodnie, zachował wspaniałe obrazy i barwy dalekiego południa. „Północ, płochliwe powietrze mroźne, w którem trzask lodu wyrasta na wystrzał armatni, a spadający niewielki kamień, grzmi jak lawina, nadały pieśni lękliwej skłonności do dziwacznej hiperboli, do olbrzymiej przesady. Oto dla czego biedny sierota Er-Sagotach w swoich — smutnych wędrówkach napotyka bohaterów bajecznych, z których najmniejszy posiada oczy ważące po pięć funtów.“ (*At-Dawan*).

Na tle tych wspaniałych obrazów Korolenko rozsnuwa szare, monotonne życie przygodnych mieszkańców, kreśli mimochodem sylwetki, które przy połysku lodowców i przestrzeni śnieżnej zarysowują się wyraźnie, a tętno ich serca i poruszenia duszy nabierają takiej siły, jak odgłos pęknięcia lodu, rozlegający się w mroźnem powietrzu.

Zenon Pietkiewicz.

TEATR.

Zofia Mellerowa. *Hrabina Tea*, sztuka w 3-ch aktach.

Zofia Mellerowa uraczyła słuchaczów nowalią, z jakiej korzystać mogą tylko majętni smakosze, zjadający np. mizeryę z młodych ogórków w lutym. Taką mizeryą jest właśnie *Hrabina Tea*, która się zjawiła na parę miesię-

cy przed sezonem... ogródkowym na deskach teatru Rozmaitości, w braku Belle-Vue, Wodewilu lub Eldorado. Niebo włoskie, brzeg morza, ustronne zamczysko, marynarze wracający z dalekiej podróży, wróżbiarka — wszystko jest, co tylko można znaleźć w starych romansach i bardzo zwietrzałych melodramatach. Ten podkład natury południowej, malowniczość obrazów, ożywionych liczną gromadą ludu włoskiego, całkowicie odpowiada romantycznemu nastrojowi twórczości autorki. To też strona dekoracyjna, przypominająca wędrowne panoramy w namiotach, jest wysunięta na pierwszy plan. Śpiewy chóralne i solowe, dyrektor operetkowy i zarazem maniak kompozytor, żywo nam przypomniały znojny okres kanikularny w Warszawie; brak tylko brzęku talerzy i kufłów śród widzów.

Stary hrabia, niesłychanie zazdrosny, ukrywa swą młodą żonę przed wzrokiem ludzkim, nie pokazuje jej światu, chociaż ten wre życiem niedaleko, tylko o parę godzin drogi. Ale ostrożność starca na nic się nie zdała; własny jego synowiec zdobył serce młodej hrabiny i wrócił do miasta, więcej przejęty obowiązkiem i honorem niż miłością, z której następstwami bardzo się liczył. Gorąca i więziona włoszka nie daje jednak za wygranę i chcąc zdobyć sobie młodzieńca, stara się w sposób nie dotykający zbyt głęboko sumienia, usunąć z drogi tyrana — męża. W tym celu używa za narzędzie krewkiego marynarza, któremu ułatwiła zakochanie się w sobie i zręcznie podsunęła myśl pożądanej usługi. Jakoż hrabia zdybuje we własnem mieszkaniu prostaka rywala, ten zaś rzuca się na niego z nożem. Ale wszystko się kończy gładko i pomyślnie; ani marynarz, ani hrabina nie ucierpią wobec sprawiedliwości, bo starzec na widok ostrza padł atakiem apoplektycznym zabity.

Powyższą dość ubogą treść sztuki autorka suto ubrała odświeżonymi efektami, wprowadziła wielką gromadę ludzi, którzy śpiewają, piją, tańczą, wymyślają sobie, ale jakoś nie mogą harmonijnie wejść w główny wątek utworu scenicznego. Na każdym kroku rozdźwięk z prawdą życiową i psychologiczną tylko całą rzecz poniekąd ratuje pewna znajomość warunków scenicznych. Przepowiednie cyganki, patetyczne przekleństwo, ciskane przez matkę morzu, za jego żarłoczność, opowieści o bohaterstwie marynarza, wszystko to już gdzieś się czytało na pożółkłych i przesiąkniętych stęchlizną kartkach, widziało się nie tylko w melodramatach, ale... w operetkach. Autorka miała oczywiście poważną myśl społeczną, ale ta głęboko się ukryła po za efektami i ornamentyką w starym stylu. Z wielkiej liczby artystów, biorących udział w sztuce, zasługuje na uwagę przedewszystkiem dobra gra p. Barszczewskiej w roli wróżki Bragi, dalej Marcellówny (hrabina Tea) w chwilach odpowiedniejszych jej talentowi, Kotarbińskiego (marynarz), Leszczyńskiego (hrabia Mirelli) i Rakiewiczowej (matka marynarza).

Czy sztuka będzie miała powodzenie? Zdaje się, że — tak! Zważmy, że w różnorodnych upodobaniach publiczności góruja... jasełkowe. *Zn.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WARUNKI NOWOŻYTNEGO PRZEDSIĘBIORSTWA.

(Dokończenie).

Jak według starych astrologów każdy śmiertelnik miał na niebiosach gwiazdę-nosicielkę swych losów, tak każde nowożytne wielkie przedsiębiorstwo w pierwszym rzędzie zależy od losów swego sobowtóra — akcyj na giełdzie. Akcyjnem ono być musi, bo siły produkcyjne jednostki już nie wystarczają wobec rozmiarów przedsiębiorstwa, określonych wymaganiami produkcyjności i stanem rozwoju techniki; a choć, naturalnie, cena papierów zależy ściśle od powodzenia przedsiębiorstwa, to jednak, na początku szczególniej, sympatyczny lub wrogi nastrój giełdy, odbijający w sobie ekonomiczną przyczynę i stopień ostrości konkurencyi, na losy interesu ogromnie wpływa. Należy tedy zapewnić sobie giełdę. I oto p. Hugo Oberndoerffer dostaje 3 miliony franków za przyjaźń, w postaci wynagrodzenia za dobrą myśl wypuszczenia obligacyj z wygranemi: inaczej intrygi jego zgubią kompanię. Tworzą się „syndykaty gwarancyjne,“ w których dla każdego niebezpiecznego aferzysty znajduje się tysiącowa synekura pod pozorem wynagrodzenia za ryzyko. Używa się zresztą sposobu, znanego i ministrowi finansów, gdy chodzi o papiery państwowe: wywołuje się sztuczną zwyżkę, kupując własne papiery przez podstawionych agentów. Tu niema się co wahać, idzie o to, „aby mieć giełdę za sobą, lub przeciw sobie,“ jak wyraził Karol Lesseps na śledztwie.

Lecz olbrzymie przedsiębiorstwo wymaga dwóch miliardów. Wogóle biorąc, gdy nawet gdzieś przesilenie staje się chroniczne, jak to obecnie powoli dzieje się zaczyna, nie jest ono jednak tak gwałtowne, aby uczyniło wolnym tyle ruchomego kapitału: zmieniając władców, nie opuszcza kapitał jednak tych dziedzin produkcyi, które konieczne potrzeby zaspakajają i mają przeto zbyt zapewniony. Należy zwrócić się do kapitału nieruchomego, do sławionych „oszczędności narodowych“; w siennikach, pierzynach, pończochach i na strychach kryją je chłopi, drobni mieszczanie, dewotki i księża, których zetknięcie z gospodarstwem pieniężnem już nauczyło cenić i chować powszechny równoważnik, ale nie dało im jeszcze śmiałości lub już ją odjęło, aby kazać mu odgrywać twórczą rolę swego własnego ojca i syna, przynosić nadwartość. Tu bez silnego zahypnotyzowania, np. zapomocą patryotyzmu, ani rusz; a funkcyę tę jednej tylko potędze powierzyć można z ufnością — prasie. To też kompania posiada na żołdzie 250 cudzoziemskich dzienników, a sama wydaje urzędowy „Bulletin interocéanique.“ Co zaś do prasy, napozór od niej niezależnej, oto obraz, jaki sprawozdania z procesu przedstawiają. W każdym dzienniku ma się do czynienia z trzema potęgami: właścicielem, lokatorem i intendentem (przenośnia administratora Fontane'a), czyli wydawcą, finansistą, który kupił cały dział ogłoszeniowy, i redaktorem. „Według zwykłych obyczajów,“ na mocy których rządowej drodze żelaznej wolno na koszt emisyi poświęcić 8%, wypadałoby kupić każdego oddzielnie, ale załatwia się sprawę, traktując wyłącznie z wydawcą. Redaktorowie i współpracownicy dostają po 20,000 fr. za sprzyjający artykuł, jak w *Revue des Deux Mondes*, a lokator-finansista odszkodowanie w postaci udziału w „syndykacie gwarancyjnym.“ Tym sposobem reklama jednej emisyi kosztuje 1,400,000 fr., co dowodzi jeszcze „godnej uczczenia bezinteresowności prasy francuskiej.“ Wszystko to wydaje się opinii tak naturalnem, tak wsiąkło w codzienne życie dziennikarskie, że p. Artur Meyer, redaktor *Gaulois*, grozi procesem oszczercy, który poważył się twierdzić, że takie wielkie pismo dostało za swą reklamę *tylko* 25,000 fr. A wydatki te co chwila, za każdą emisyą, muszą wzrastać. Cień podejrzenia o niepowodzenie zjawić się nie powinien: dość czeka kruków na to, aby przedsiębiorstwu zakrakać requiem; a tu nie wszystko idzie jak po maśle. Olbrzymie trudności wymagają walki tytanicznej, którą siły zrzeszone całego ogółu wydać by mogły, lecz geniusz jednostki i pieniądze części społeczeństwa na nią nie wystarczają: zapowiedziane roboty ulegają opóźnieniu, które trzeba ukrywać. Tymczasem wiedzą o nich pojedynczy przedsiębiorcy, którzy się wykonania robót podjęli: trzeba kupić ich milczenie i dlatego nietylko się im za niesumienność nie wytacza procesów, lecz przy zerwaniu kontraktu wypłaca ogromne sumy indemnizacyjne. Eiffel tym sposobem zarobił na czysto 20 milionów. Dlatego trzyma się masę urzędników i prawie nigdy nikogo nie wydala.

Wreszcie wielkie przedsiębiorstwo ma do czynienia z trzecią potęgą, z władzą bezpośrednią, rządową. Rzecz prosta, że nietylko Towarzystwo panamskie potrzebowało zgody parlamentu na swe działanie; Bank francuski i wiele innych interesów znajdują się w zależności od niego, a stosunek ten istnieje nietylko we Francyi, zarówno jak obraz parlamentaryzmu, który się z procesu wyłania, jest nawskroś międzynarodowym. „Burżuazya wytworzyła najgorszy z proletaryatów — proletaryat parlamentarny“ — powiedział niedawno deputowany Ferroul; zdanie to, napozór paradoksalne, wiernie stan rzeczy maluje. Na wysokim stopniu rozwoju kapitalizmu cechą proletaryatu jest przedewszystkiem niepewność jutra, groźba przejścia lada chwila w szeregi armii rezerwowej, brak określonego zawodu, mogącego zapewnić robotnikowi punkt oparcia. Pomijamy tu wypadek, gdy linia ta tworzy się dzięki odpowiedniemu wychowaniu politycznemu i uświadomieniu. W podobnem położeniu znajdują się panowie deputowani: jeśli pominiemy grupę wielkich posiadaczów ziemskich i przemysłowców, to większa część składa się z dziennikarzy, adwokatów i byłych urzędników, lub innych kandydatów rządowych. Nietylko że tym sposobem już z natury swych dawnych pozaparlamentarnych zajęć są oni karyerowiczami, lecz jeszcze po większej części są faktycznie do niczego niezdolni, a oprócz krzesła w Izbie, innego środka do życia i używania nie mają. Z drugiej strony krzesło to bardzo jest niepewne: łaska wyborców, a głównie komitetu wyborczego, na pstrym koniu jeździ; wybory drogo kosztują; po upływie czteroletniej kadencyi zajść mogą poważne zmiany w ustosunkowaniu stronnictw, a zmienić etykietę nie tak łatwo, bo partya zwyciężająca dość ma swoich kandydatów i nowonawróconych nie potrzebuje. Widzimy też, że z wyjątkiem ludzi rzeczywiście wybitnych, umiejących wysunąć się na czoło, większa część deputowanych jedną tylko kadencyę spędza na ławach pałacu Burbońskiego, a już przynajmniej co lat osiem musi odświeżyć się między wyborcami, „skąpać się w świeżem źródle głosowania powszechnego.“ Trzebaż skorzystać z cztero lub ośmiolecia, aby sobie i rodzinie zapewnić spokojną emeryturę; zamiast uczciwością zasługiwać sobie na dalsze i tak niepewne zaufanie, lepiej odrazu powiedzieć: „après nous le déluge“ i wszystkie korzyści ze swego położenia osiągnąć. Tem bardziej stosować się to musi do tych drobnostkowo ambitnych i średnio zdolnych osobistości, które dzięki względom koteryjnym i polityce korytarzowej, dochrapawszy się jakiejś teki, czują, że niedługo będą musiały ustąpić ją nowym, szczęśliwszym intrygantom.

Obok takiego steru życia narodowego tworzy się cały zastęp faktorów, którzy przy kupnie i sprzedaży głosów i mów, jak przy każdej innej wymianie towarów, zręcznie pośredniczą. W tej robocie, pełnej niebezpieczeństw i nadziei, hazardownej, jak gra, a wymagającej znajomości ludzi i odwagi, znajdują ujście temperamenty takich korsarzy, jak Arton, Reinach, Korneliusz Hertz wreszcie, będący w swoim rodzaju typem rzadkiej potęgi; z czasem

pośrednicy, jak i w innych gałęziach kapitalistycznej wymiany, coraz większego nabierają znaczenia. Już nietylko potrzebujący zwracają się o towar, ale producenci literalnie zmuszają ich do kupowania siebie samych: Baihaut np., były minister robót publicznych, od którego zależało wniesienie projektu pozwolenia na wypuszczenie obligacyj z loteryą, według Karola Lessepsa, „z nożem na gardle“ żąda miliona franków; Reinach przed głosowaniem 4 czerwca 1888, pomyślnem, jak wiadomo, dostaje 6 milionów „na cele parlamentarne“; bony bezimienne, wydawane przez kompanię, dochodzą do 1,440,000 fr. Włoskie „Panamino“ odsłania takie same stosunki. Podobieństwo zachodzi tak daleko, że mamy tam do czynienia z osobistością, z charakteru i temperamentu bardzo do Ferdynanda Lessepsa, jak się zdaje, podobną: z baronem Michałem Lazzaronim, który deputowanym nie mógł zostać, bo nie ma jeszcze lat 30, ale był prezydentem kilkunastu banków i towarzystw.

Oto warunki, w których nowożytne wielkie przedsiębiorstwo żyć musi. Zawiera się w nich radykalne przeciwieństwo: z jednej strony społeczne wymaganie jaknajwiększej produkcyjności pracy, znajdujące swego nieubłaganego wykonawcę w ekonomicznej konkurencyi, pcha przedsiębiorców do bezgranicznego powiększania rozmiarów przedsiębiorstw; z drugiej strony, istniejąca forma posiadania i określone przez nią nakazy prawne i moralne temu rozrostowi kładą granice, których, przestąpienie ich naruszeniem z konieczności być musi. Wymagalny ze względów produkcyjności rozmiar przedsiębiorstwa woła o zrzeszenie, o uspołecznienie odnośnych wysiłków; istniejące zaś stosunki własnościowe sprawdzają jaknajdokładniej Hobbesowskie „homo homini lupus.“ W walce jednak wymagania produkcyjności, jak zawsze, przemagają; prowadzą ją ludzie, którzy, że użyjemy tu silnych wyrazów jednego z przedstawicieli tej kategoryi burżuazyi, Henryka Deloncle'a, stanowczo błogim stanem „przepasionego wołu“ gardzą i podobni są „do pracowitych i mężnych zwierząt, które chcą mnożyć się i używać.“ Dopóki tedy ścieranie się tych dwóch sił nie doprowadzi do równowagi, polegającej na przystosowaniu formy posiadania i systemów prawnego i etycznego do zwycięzkiej formy produkcyi, muszą te ostatnie być naruszane, muszą nowożytni wikingowie myśleć o nich słowami współpracownika zacytowanego, Gastona Pollonnais: „cnota jest jak kąpiel z szampana lub mleka, w której zanurzają się zniewieściałe kurtyzany, zanim oddadzą się codziennym rozkoszom.“ *).

Kazimierz Krauz.

Z GALICYI.

Lwów, 25 lutego.

Wychodźctwo ludu. — Tajemniczy i niepokonany agitator.

Sprawą, która oddawna nie schodzi u nas z porządku dziennego, jest emigracya. Według *Gazety lwowskiej* jednak można ją „uważać za ukończoną w sposób stanowczy wobec oświadczenia rządu ruskiego, że nie ma wcale zamiaru udzielać gruntów emigrującym włościanom, że przeciwnie, wydał polecenie swoim władzom granicznym, ażeby wzbraniały wstępu w granice państwa ruskiego tłumnie zgłaszającym się wychodźcom.“ W ostatnim zeszycie *Przeglądu* jezuickiego ogłosił prof. T. Pilat statystykę całego tego ruchu, na który zresztą z ciasnego patrzy stanowiska, przyjmuje bowiem za główną niemal przyczynę wychodźctwa — agitacyę polityczną.

Wychodźctwo mas ludowych, podjęte rozważnie czy gorączkowo, zawsze ma główną swą przyczynę w stosunkach społecznych kraju, z którego płynie. Nędza, brak zarobku i brak nadziei polepszenia doli — to grunt najżyzniejszy pod wszelki zasiew agitacyi wychodźczej. Przeciwnie zaś dobrobyt, obfite źródła dochodu i wiara w przyszłość są rolą zupełnie jałową dla złego ziarna. Niechby kto spróbował namawiać gdziebądź, np. w Ameryce, ludzi w dobrym bycie, aby wywędrowali do Galicyi. To prawo ruchów przesiedleńczych jest podobne do spływania wód z wyżyn ku dołowi, panuje ono wszędzie. Tej samej natury było wychodźctwo z powiatów podolskich do Rosyi. Ruch emigracyjny ogarnął i tutaj z małymi wyjątkami sam tylko proletaryat rolniczy, zarobników, chałupników i właścicieli najmniejszych gospodarstw, podsycały go zaś wieści o rozdawaniu gruntów. Ostateczny wynik tego ruchu przedstawia się tak: wyszło osób 6,111, wróciło 3,283, pozostało za granicą 2,828. Dalsze cyfry statystyczne wykazują, że ludność powiatów podolskich wobec bardzo znacznego, jak na kraj rolniczy, zaludnienia, wobec rozdrobnienia ziemi włościańskiej i danych stosunków zarobkowych, doszła do kresu przeludnienia względnego. Wśród takich warunków ekonomicznych musi nastąpić jedno z dwojga: albo przez spotęgowanie istniejącej produkcyi i wytworzenie nowych gałęzi zarobku umożebni wyżywienie większej liczby ludności na danej przestrzeni, albo też musi nastąpić odpływ na zewnątrz. Powiaty podolskie, a wcześniej od nich okolice Galicyi zachodniej znajdują się pod tym względem w tem samem położeniu, jak polskie prowincye państwa pruskiego, mające ludność mniej gęstą, a wykazujące znaczniejszą emigracyę, niż rolnicze powiaty Czech i wiele innych okolic rolniczych w środkowej i północnej Europie.

Gdzież więc jest ów tajemniczy agitator emigracyjny, ten potwór, wyciągający dziesiątki tysięcy ludzi rocznie po za kraj rodzinny? Szczególna jest skuteczność jego namowy, a zarazem niedościgła zręczność w ukrywaniu się przed najczujniejszem okiem. Agitacya jego zwycięża przywiązanie chłopa do ziemi, a bynajmniej nie jest powstrzymywana przez znaną zachowawczość jego, przez wielkie a niemal fanatyczne zamiłowanie do rodzinnych obyczajów i zwyczajów, przez wrodzoną mu, zdawałoby się, powolność ruchów. Cóż to za niebezpieczny działacz społeczny, który łańcuch ten zrywa w ukryciu przed naszemi oczami? Potężniejszym zdaje się on być nawet od najzacieklejszych w historyi prześladowców religijnych i narodowych; ani Alba, ani Kromwel nie zdołali wygnać z ojczyzny tylu flamandczyków i irlandczyków, ani cofnięcie edyktu Nantejskiego nie wypędziło tylu protestantów z Francyi, ile obecnie wynosi się ludzi za ocean — u nas 60,000, z Europy przeszło pół miliona. Owym tajemniczym agitatorem jest niedostatek, nędza, która panuje wszechwładnie u dołu najliczniejszej naszej warstwy społecznej, znęca się nad nią bezustannie, nie daje jej spokoju w dzień, ani w nocy, ani we śnie. Niepodobna nie słyszeć jej głosu w ludzie, a tem mniej dziwić się, że przytłumia inne uczucia, jak przywiązanie do ziemi. Jeżeli już całkiem nie można zniweczyć tego „naganiacza“ wobec mnożącej się ludności naszej i mało elastycznych warunków bytu, starajmy się, żeby skutki jego agitacyi były jaknajmniej szkodliwe.

W. Prościcki.

LIBERUM VETO.

Genialny wynalazek. — Sposoby oszczędzenia pracy w pisaniu. — Blankiet w literaturze. — Kilka wzorów ofiarowanych bezinteresownie na użytek publiczny. — Korzyści wydawców. — Skarga komitetu obywatelskiego. — Akcent odezwy. — Jawność składek i wstydliwość ofiarodawców. — Czy kobiety mogą być ogrodniczkami. — Dwa błędy. — Praktyka rozcinająca węzeł kwestyi teoretycznej.

To, co niżej powiem, jest najrzetelniejszą prawdą.

Zgłosił się do nas pewien człowiek, genialny w pomysłach praktycznych, z całym szeregiem wynalazków i prośbą, ażebyśmy mu pomogli w świat je wprowadzić i odpowiednio wyzyskać. Chociaż nie mogliśmy nie uznać ich rzeczywistej wartości, musieliśmy odmówić poparcia materyalnego, na które nas nie stać. Wtedy on zwrócił się do kilkunastu innych redakcyj, gdzie mu odpowiedziano, że wynalazki jego z nieznacznemi zmianami są oddawna znane i stosowane. Zniechęcony upoważnił nas do ogłoszenia i oddania na użytek publiczny swych myśli, co też, spełniając jego zacną wolę, na tem miejscu czynię.

Wiadomo, że nietylko biura, urzędy, kantory, banki i wszelkiego rodzaju instytucye publiczne, ale nawet osoby prywatne posługują się t. zw. blankietami, tj. papierami, na których wydrukowany jest pewien stale powtarzający się tekst i tylko pozostawione w nim puste miejsca dla wpisania wyrazów i wyrażeń zmiennych. Blankietów takich używamy do weksli, kwitów, kontraktów najmu mieszkań, paszportów, książek służbowych itd. Łatwo ocenić, ile dzięki im społeczeństwa ucywilizowane oszczędzają sobie bezpotrzebnej i bezużytecznej pracy. Co dawniej odrabiała gromada pisarzów, kancelistów, urzędników, to dziś załatwia maszyna drukarska, pozostawiając ludzkim rękom tylko drobne dodatki. Ten sam akt, który jeszcze przed 20 laty wymagał paru godzin pisania, dziś wychodzi gotów w ciągu kilkunastu minut. Myśl rozszerzenia i przeniesienia blankietów na dalsze dziedziny życia nasuwała się całkiem naturalną drogą, zwłaszcza gdy w jakiejkolwiek z nich dostrzeżono pewną, często lub ciągle powtarzającą się stałość tekstów. W ostatnich czasach zaczęto się nimi posługiwać nawet w korespondencyi prywatnej. Po co np. lekarz z rozległą praktyką ma codzień pisać kilkanaście razy: „Szanowny kolego. Służę będę na konsylium u p.... dnia... o godzinie... z szacunkiem,“ kiedy może sobie to na arkuszach listowych wydrukować i wstawiać tylko daty z nazwiskami?

Zdawało się, że jedna sfera życia, wyłączająca jednostajność, pozostanie na zawsze zamknięta dla blankietu, mianowicie literatura i prasa peryodyczna. Zauważono jednak, że i ona powoli otwiera mu swe podwoje. Czytelnicy pism codziennych niezawodnie dostrzegli, że pewne doniesienia podawane są stale z jednakowymi tytułami: *wyrodna matka* (dzieciobójczyni), *przez własną nieostrożność* (robotnik fabryczny, skaleczony lub zabity przez maszynę), *na posterunku* (robotnik kolejowy, zgnieciony przez wagony) itp. Tego już reporter pisać nie potrzebuje. Obecnie ustaliła się już nawet forma tych doniesień. Więc czytamy np. zawsze: „Wczoraj spadł z rusztowania mularz... Podniesiono go ze złamaną ręką i obrażoną głową. Po udzieleniu mu doraźnej pomocy lekarskiej, odesłano go do... Śledztwo w toku.“ Tu blankiet jest całkiem usprawiedliwiony.

Wszystko to jednak są wiadomości drobne, stereotypowe raporty dzienne, które muszą być jednostajne, jak wpisywane w nich wypadki. Szematyzm wszakże zaczął objawiać się tam, gdzie z pozoru nie

*) W poprzednim ciągu tego artykułu (str. 91, szp. 3, w. 34) zamiast *Wiktoryi* winno być *Elżbiecie*.

było dlań miejsca — w pracach literackich. To właśnie dojrzał człowiek genialny, o którym wyżej wspomniałem. Zauważył on, że nietylko w wiadomościach brukowych, ale w wielu artykułach i utworach powtarzają się stale te same zdania, że więc można w nich również zastosować blankiety. Mam właśnie pod ręką kilka przez niego ułożonych, które przedstawię czytelnikom, jako dowody doskonałego pomysłu.

Blankiet przeglądu politycznego. „Konflikt, który zdawał się zagrażać pokojowi europejskiemu, został szczęśliwie zażegnany. Widnokrąg polityczny dzięki... wypogodził się tak dalece, że go już nie zaciemnia żadna chmura. Wprawdzie od strony.... podnoszą się małe obłoczki, ale nie zapowiadają burzy. Negocyacye dyplomatyczne, których filiacyę nam sygnalizowano, kontynuują się dalej w gabinetach. Spodziewać się należy, że w zachowaniu się mocarstw okaże się możliwość porozumienia się“ — itd.

Blankiet sprawozdania teatralnego. „Autor podjął jedną z najdonioślejszych tez, ale jej nie umiał wyzyskać. Jego figury są starymi szablonami, odświeżonymi nieco trafną obserwacyą. Kochanek za mało (lub za dużo) ma zapału, naiwna — za mało (lub za dużo) prostoty, rezoner zbyt przypomina... Co do teściowej i cioci — mamy lepszy typ w... Jeden tylko stary sługa, chociaż nie dorównywa..... jest postacią żywą. O podstarzałej kokietce powiedzieć można to tylko, że jej model... mizdrzy się lepiej“ — itd.

Blankiet krytyki naukowej. „Pan... ogarnął całą wiedzę w swym przedmiocie, zużytkował ją umiejętnie i przystępnie. Dziwi nas tylko, że nie wspomniał o naszym rodaku... który miał te same myśli, chociaż ich szerzej nie rozwinął“ — itd.

Blankiet wspomnienia pośmiertnego dla literata. „Nie błyszczał światłem geniuszów, ale cichą pracą zasłużył sobie na pomnik trwały w sercach ziomków. To też wszyscy koledzy po piórze znaleźli się koło trumny nieboszczyka, żegnając go szczerym żalem. Nie był to rozum zimny, lecz ogrzany cnotą. Często nawet najbliższemu kołku znajomych niewiadoma była jego serdeczna uczynność, którą ofiarował każdemu, kryjąc starannie swą pomocną rękę. Może obdarowani dotąd nie odgadują, kto był ich przyjacielem. Mamy nadzieję, że szybko znajdzie się wydawca, który zbierze jego rozrzucone po pismach artykuły i ogłosi je w książce, stanowiącej cenny nabytek dla literatury. Niech ci, zacny druhu lekką będzie ziemia, którą tak ukochałeś“ — itd.

Blankiet nekrologu księdza. „Dnia... we wsi... zmarł miejscowy proboszcz, kapłan cnót wielkich. Zaraz po przybyciu odnowił świątynię. Parafian swych kochał jak dzieci i jak najczulszy ojciec troskał się nietylko o ich dobro wieczne, ale i doczesne, nie skąpiąc ani rady, ani pomocy. To też osierocone owieczki z nieutulonym żalem pożegnały swego czcigodnego pasterza. Na cmentarzu słychać było rzewne płacze i szlochania“ — itd.

Blankiet nekrologu obywatela ziemskiego. „Okolica... poniosła dotkliwą stratę przez zgon... właściciela folwarku... Był to człowiek wielkiego rozumu i serca. Znakomity gospodarz, nieoceniony sąsiad, szczery przyjaciel ludu, pozostawia po sobie żal powszechny. Jak pojmował i spełniał swe obowiązki obywatelskie, świadczy fakt, że gdy we wsi... spaliła się cała zagroda chłopska, nieboszczyk posłał biednemu włościaninowi furę... Dopiero teraz dowiedziano się o tym szlachetnym czynie“—itd.

Niech czytelnik nie sądzi, ażeby powyższe teksty nadawały się tylko do pewnych szczególnych wypadków. Ponieważ bowiem artykuły polityczne, sprawozdania teatralne i wspomnienia pozgonne brzmią w naszej prasie zwykle jednako bez względu na to, do kogo i czego się odnoszą, więc wynalazca powyższych blankietów mniema, że one dadzą się zastosować nawet wtedy, gdy np. Europie nie grozi żaden „konflikt,“ gdy zmarły literat swą dobroczynność okazywał w zaciąganiu długów, których nigdy nie spłacał, obywatel kochał lud w młodych dziewczętach, a czcigodny pasterz strzygł swe owieczki. Pogląd bardzo słuszny. Bo jeżeli my nie rozróżniamy ściśle ani ludzi, ani rzeczy i najodmienniejszym wystawiamy też same kwity i dyplomy uznania, po co marnować pracę na ciągłą pisaninę pewnych frazesów, które stale mogą być wydrukowane w odpowiednich blankietach? Dla wydawców byłaby to olbrzymia oszczędność w kosztach produkcyi. Teraz polecają oni *napisać* wspomnienie pozgonne o jakimś literacie, obywatelu ziemskim lub czcigodnym kapłanie, wprowadziwszy blankiety, kazaliby je tylko *wypełnić* nazwiskami i datami; teraz płacą kilka rubli za cały artykuł, a wówczas płaciliby kilkanaście kopiejek za parę wyrazów lub wierszy. Zwracam na tę korzyść uwagę interesowanych.

Komitet obywatelski, zawiązany w celu przeciwdziałania cholerze, skarży się, że składki napływają do jego kasy bardzo skąpo. Tymczasem już dziś potrzebuje on dość znacznych środków, gdyż za jedno z najgłówniejszych swych zadań uznał łagodzenie nędzy za pomocą schronisk, taniego jadła, wogóle zapomocą poprawy warunków życia ludności ubogiej. Ujemny rezultat wynikł prawdopodobnie ze złego postawienia kwestyi w odezwie, w której za wielki położono nacisk na cholerę nieistniejącą, a za mały na nędzę istniejącą. Odezwa ta, zaopatrzona w liczne rubryki przewidujące, sprawia takie wrażenie, jak gdyby w niej powoływano ludzi do ofiar dla tłumienia epidemii, której nie ma i która może nie wybuchnąć, jak gdyby nabijano armaty przeciw wrogowi, który może wcale nie przybyć. Większość ludzi rozumuje sobie tak: po co mamy się śpieszyć ze składkami; skoro cholera ukaże się, to je wniesiemy. Daleko więc właściwiej było wysunąć nędzę na plan pierwszy, określić statystycznie i społecznie rozmiary i niebezpieczeństwo tej wielkiej rany, wykazując konieczność leczenia jej bez względu na to, czy na niej zaszczepi się cholera, czy też nie. Zresztą jeżeli chodzi o skutek, trzeba policzyć się z rozmaitemi słabościami ludzkiemi, a nadewszystko z ich fałszywym lub usprawiedliwionym wstydem. Lista ofiarodawców jest ogłaszana we wszystkich pismach, co wielu zachęca, ale wielu zniechęca. Ci którzy mogą rzucić na stół kwesty publicznej setki lub dziesiątki rubli, radzi są z tej jawności; ale mniej zamożni wstydzą się występować ze swemi skromnemi kopiejkami obok hojnych ofiar. Że tak jest, przekonały po otwarciu składek rozmaite poprawki w przyrzeczeniach. Ktoś zobowiązał się płacić miesięcznie rubla, ale gdy spostrzegł, że inni dają więcej, podniósł stopę. A ilu takich się znajdzie, którzy przyobiecawszy pewną opłatę dla tego tylko, ażeby ich wydrukowano, potem wcale jej uiszczać nie będą! W tego rodzaju przedsięwzięciach zawsze lepszy wróbel w ręku, niż szczygieł na sęku.

P. Jankowski dotknął w swej ostatniej pogadance ważnej kwestyi kobiet-ogrodniczek. Ponieważ jego wywodów nie słyszałem i znam je tylko ze streszczenia w pismach, więc na tych ostatnich oprę kilka uwag w tym przedmiocie. P. J. oświadcza się przeciwko udziałowi kobiet w ogrodownictwie ze względu na ich słabe siły i wskazuje im jako właściwe zajęcie na tem polu tylko kwiaciarstwo, robienie bukietów i tym podobne zajęcia lżejsze. Zdaje mi się, że zarówno w tej sprawie, jak i w wielu innych, dotyczących pracy niewieściej, popełniamy dwa błędy: mamy na uwadze wyłącznie kobiety klas wyższych i obecne ich niedołęstwo fizyczne. Jeżeli chłopka lub drobnomieszczanka wykonywa prawie wszystkie te same roboty, co mężczyzna, zarówno w gospodarstwie i fabryce, jak na polu, dlaczego nie miałaby podołać ogrodnictwu, wymagającemu bądź co bądź mniej siły od wielu innych zawodów? Co zaś do „pań“ — są one rzeczywiście wątłe i ugięłyby się pod trudem odpiłowania gałęzi na 2 centimetry grubej; ale naprzód są między niemi fizycznie rozwinięte a powtóre niech zniedołężniające wychowanie zarzuci hodowlę cieniutkich i delikatnych potworków, z pewnością przysposobi zdrowe i mocne kobiety. Nie rozbieram tej kwestyi szczegółowej, gdyż jest ona czysto teoretyczną: nie ma szkół, w których by kobiety mogły się uczyć ogrodownictwa, a gdyby która z nich chciała praktykować w jakimś zakładzie, z pewnością przyjętoby tylko... bardzo przystojną. Sama więc rzeczywistość rozcina węzeł.

Poseł Prawdy.

DZIESIĘĆ LAT WALKI Z CHARŁACTWEM.

Kolonie letnie dla dzieci należy uważać za taką instytucyę filantropijną u nas, która nietylko już mocno zapuściła korzenie w grunt miłosierdzia społecznego, ale i niewątpliwie rozwinie się z czasem w szeroko rozpościerające swój cień dobroczynny drzewo oliwne. Kiedy przed laty dziesięciu jej twórca, dr. Fritsche, kładł kamień węgielny tej instytucyi, chciał, żeby ona spełniała zadanie tylko lecznicy — stacyi klimatycznej, zapobiegającej zgubnemu wpływowi warunków życia miejskiego na organizmy młodociane. Szło mu o hygienę cielesną, o zwalczanie przy jej pomocy charłactwa, czyli zwyrodnienia fizycznego. Jedyną zaś pobudką moralną tego przedsięwzięcia była dla niego z pewnością bezinteresowna miłość bliźniego. Zarzucano mu, że uprawia sport filantropijny. Było to szyderstwo niesłuszne i przedwczesne. Przez ciąg lat dziesięciu dzieło jego, zyskując ciągle coraz większe uznanie i poparcie w czynnej sympatyi ogółu, rozwinęło się, zmężniało i zaczyna przerastać pierwotnie postawione mu zadanie. Na przyszłość kolonie letnie służyć już mają nietylko ku pomnażaniu ilości „tlenochłonnych“ krążków krwi charłaczej i powiększaniu wagi ciała, ale i ku uzdrowieniu dusz zwątpiałych, serc zgoryczonych. Jest to zupełnie logiczne uzupełnienie, wywołane dziesięcioletniem doświadczeniem i, między innymi względami, tem wrażeniem, jakie na matki sprawia widok dzieci, którym kilkotygodniowy pobyt na wsi przywraca rzeźkość młodocianą, wesołość i rumieniec na twarzy. Zrozumienie tej chwili psychologicznej pozwala naszym ortopedom patrzyć spokojniej w posępną przyszłość, bo dając wytrychy do serc rodzicielskich, ludzi nadzieją rozwiązania zagadki rozdźwięków. Na rozszerzenie celu i pojęcia kolonij letnich u nas wpływa jeszcze i inna okoliczność: bliższe zaznajomienie się z podobnemi instytucyami za granicą, które, jak wiadomo, dosięgły tam już wysokiego stopnia rozwoju i za pośrednictwem swych zjazdów międzynarodowych, grających bardzo doniosłą rolę w uświadamianiu zadań i środków zbawczej działalności, usiłują doścignąć szczytu udoskonalenia. Pomimo tego, iż zbaczają one dosyć często w kierunku marzeń Arnolda Toynbeego, trzeba być nader jednostronnym, żeby nie uznać w nich zadatków przyszłej na szerszą skalę podjętej zrzeszonej walki ze zwyrodnieniem cielesnem pokoleń młodych, rodzących się i wzrastających śród miast. Jakiebykolwiek być mogły uboczne roszczenia kolonij letnich dla dzieci, jedynym i bodaj najtrwalszym owocem ich za-

biegów będzie to, że społeczeństwu przysporzą pewnej ilości mniej kruchych cegiełek. Jaka zaś później ułoży się z nich figura geometryczna, trójkąt mistyczny, samolubne i zamknięte w sobie koło, czy też obojętny, harmonijnie zwarty w kątach równoległobok, zależeć to będzie od architektonicznych planów samego życia. Dość że otamowanie złowrogich postępów charłactwa osłabi fizyologiczny grunt zbrodni dziedzicznej i zapewni ogółowi pokaźny procent zdrowych i silniejszych jednostek, zdolnych prawidłowiej czuć i oddziaływać na bodźce świata.

Wyniki usiłowań naszych kolonij ostatecznie również dają się sprowadzić tylko do powyższego mianownika, chociaż, sądząc z uwag dr. Markiewicza, dusza ich nadal ma dążyć torem, wytkniętym przez *toynbeestów*.

Ale zobaczmy, co one już zdziałały dla zdrowia fizycznego w ciągu dziesięciolecia swojego istnienia, od 1882 do 1892 r. Jesteśmy w możności dowiedzieć się o tem na zasadzie rachunku sumienia, zrobionego przez komitet przed szerokiem już gronem ofiarodawców, tem bardziej, że ten rachunek został ogłoszony. Otóż w r. 1892 mieszkańcy Warszawy wysłali na świeże powietrze aż 884 dzieci ubogich, lecz słabowitych. Ogółem zaś w ciągu lat jedenastu — 3,549! Wymowne są cyfry porównawczo wzięte z lat kolejno idących po sobie, gdyż wskazują, bądź co bądź, nieustanny postęp i rozwój instytucyi. Cyfry te, ułożone graficznie, dają się wyrazić w postaci trójkąta, którego szczyt stanowi liczba 52 dzieci wysłanych po raz pierwszy na letniówkę w r. 1882, a podstawę zmienną i wciąż wydłużającą się — liczby kuracyuszów młodocianych każdego następnego roku. W r. 1883 wysłano dzieci na wieś 84, w 1884 — 136, w 1885—204, w 1886—245, w 1887 — 288, w 1888—296, w 1889—417, w 1790—450, w 1891—493, zaś w zeszłym 884. Drugie dziesięciolecie rozpoczęło się więc bardzo pomyślnym rezultatem, bo komitet mógł wysłać na świeże powietrze 391 dzieci więcej, niż w najpomyślniejszym pod tym względem r. 1891. Sprawozdawca żywi nadzieję, że podstawa trójkąta wzrastania kolonij — które śmiało mogłyby tę figurę przyjąć za swoje godło — w najbliższym czasie rozciągnie się do liczby 2,000 dziatwy, mogącej korzystać z dobroczynnego wpływu powietrza i słońca wiejskiego, gdyż *przynajmniej* takiej liczbie młodych organizmów z klasy ubogiej Warszawa może zapewnić rocznie odporność na zabójcze wpływy swoich murów.

Są pesymiści, którzy nie odmawiając bezwzględnie zasługi koloniom letnim, nie bardzo wierzą w trwałość tego, co one czynią. Utrzymują np., że dobroczynny wpływ czterotygodniowego pobytu na wsi nader szybko zaciera późniejsze jedenastomiesięczne przebywanie tegoż samego dziecka w fatalnych warunkach życia miejskiego, a zwłaszcza sfery rodzicielskiej. P. Markiewicz również zmuszony jest podzielić to zdanie, znajduje jednak otuchę w tem, że u dzieci wysyłanych na wieś, mianowicie u tych, które przedtem przebywały długo w niepomyślnych warunkach zdrowotnych, „poprawa zdradza się nietylko takiemi oznakami, jak wesołość, wzmożony apetyt, dobra cera, spotęgowana wytrzymałość w chodzeniu i wogóle w ćwiczeniach fizycznych, ale zdradza się i w pewnych, miarą i wagą dających się ocenić zmianach, w tkankach i organach owych dzieci.“ Co do przyrostu wagi ciała, to ma on 4 do 8 razy być większy, niż przeciętnie u dzieci tegoż wieku i w takiejże jednostce czasu daje się to stwierdzić. Przyrostu krążków krwi u dzieci na koloniach sp... nie badano i dlatego p. M. czerpie przykłady skądinąd. Podczas kiedy u zdrowych dzieci w Zurychu w jednym milimetrze sześciennym krwi znajdowano przeciętnie prawie 5½ miliona krążków, co, jak wiadomo, jest miarą normalnej jakości krwi, to u dzieci słabowitych, wysyłanych na kolonie, taż sama jednostka krwi zawierała tylko 4½ miliona krążków. Dość wszakże było czterotygodniowego pobytu na świeżem powietrzu, żeby u większości pacyentów przyrost krążków w jednym milimetrze sześć. dochodził do 1,200,000!

Zresztą ostatnim argumentem, przemawiającym za pożytecznością kolonij letnich, jest dla p. M. fakt, że i ogół klas wykształconych, zamożnych „nie waha się ponosić trudów i ofiar, aby szczególniej dzieciom swoim zapewnić w porze letniej kilka tygodni świeżego powietrza.“ Słaba to racya, ale też nikt na seryo nie myśli przeczyć tak oczywistej prawdzie, że dzieciom zaułków miejskich potrzeba jaknajwięcej przestworu, słońca, powietrza, posilnej strawy — a więc wsi do syta.

A. P.

SPRAWY EKONOMICZNE

ŁÓDŹ CZY PIOTRKÓW?

Obecnie takie pytanie zadają sobie obywatele obu tych grodów, od kiedy znowu sprawa co do siedliska władz gubernialnych znalazła się na porządku dziennym. Sprawa ta obecnie, jak donoszą, nie wyszła jeszcze po za obręb zasadniczego pytania,“ o ile przeniesienie punktu ciężkości zarządu prowincyonalnego z Piotrkowa do Łodzi korzystnem byłoby dla wszystkich. Z przebiegu obrad, które się toczyły w łonie magistratu Łodzi dnia 27 stycznia r. b., jak również na posłuchaniu radnych u gubernatora w kilka dni później, widać, że na tej przeprowadzce bardzo wiele zależy obywatelom naszego „Manchestru.“ Powołują się oni na to, że ich gród oddawna jest na prawach miasta gubernialnego, gdy tymczasem nie korzysta ze wszystkich dobrodziejstw tego przywileju. I w samej rzeczy, upośledzenie pod względem administracyjnym miasta, liczącego już wraz z przedmieściami 200,000 dusz, miasta zajmującego w kraju drugie miejsce po Warszawie, której wynosi prawie połowę — jest uderzającą nieprawidłowością. Łódź wszakże nie stanowi w tej mierze rzadkiego wyjątku. Odesa np. jest jednym z najpierwszorzędniejszych portów w państwie i mieści w swych murach setki tysięcy ludzi, a jednak stanowi zaledwie ośrodek władz powiatowych, siedzibą gubernialnych jest Cherson, miasto, mające daleko mniejszą doniosłość ekonomiczną i o nierównie mniejsze skupienie ludności. Ten sam los podziela i Biała-Cerkiew w stosunku do Wasylkowa. Pomimo, że względnie jest sporo rozwinięta przemysłowo i po Kijowie należy do najpoważniejszych ognisk handlowych — o czem bardzo dobrze z praktyki wiedzą rolnicy okoliczni — siedlisko władz powiatowych tkwi w niepokaźnej i słabiej zaludnionej mieścinie, Wasylkowie. Ta nierównoległość pierwiastków: administracyjnego i ekonomicznego niektórych miast Cesarstwa i Królestwa jest wynikiem dziejowych przyc... ich rozwoju i powstania. Dawn... ie, w rodzaju Piotrkowa, Chersona, Wasylkowa itp. byt swój, niekiedy zaś i rozwój — zawdzięczają czynnikom urzędowładczym; nowe, jak Łódź, Odesa, Biała-Cerkiew itp. przedewszystkiem są wytworem produkcyi tegoczesnej. Ale to dochodzą do rozkwitu, a czasem do potwornej wybujałości rozmiarów zwykle nader szybko; tamte rozwijają się zwolna i leniwo, częstokroć stoją przez długie lata, jak wryte. Dzieje się to tem, że pierwsze posiadają dźwignię rozwoju żywotniejszą, organiczną, ostatnie — sztuczną. Żeby Łódź zmalała, potrzeba, iżby najgłówniejszy sprawca jej potęgi obecnej, przemysł tkacki, utracał rynki zamiejscowe; żeby zaś zanikła całkiem, nastąpić to mogłoby wtenczas, gdyby nagle, skutkiem szczególnych zmian klimatycznych, okazało się wygodniejszem spożywcom miejscowym chodzić nago, niżeli w ubraniu. Za to Piotrków, wyzuty z władz sądowo-administracyjnych, które ściągając obecnie do siebie z całej gubernii tłumy interesantów, dostarczają mu spożywców wraz z sobą — w jednej chwili doznałby bardzo silnego wstrząśnienia i zaczęła się chylić ku upadkowi.

Tem się więc tłomaczy dziwaczny na pozór stosunek Piotrkowa do Łodzi, przywilej posiadania władz centralnych pierwszego, a przewaga ekonomiczna i ludnościowa drugiego. Przewaga ta jest jej potęgą, ona też sprawić może to, że prędzej czy później, sukienkę gubernialną prastarego grodu nosić zacznie miasto młode i strzelające zuchwale lasem kominów w górę. Jak zaś daleco obywatelom Łodzi zależy na tych obłóczynach, świadczyć może ich pochopność do poniesienia wszelkich ofiar pieniężnych, jakie za sobą pociągnąć może ten ceremoniał. Kiedy bowiem spytano ich, czy fundusze przeznaczone w budżetach urzędów gubernialnych na najem lokalów, wystarczą w Łodzi, której mieszkania są znacznie droższe, rajcowie magistratu odpowiedzieli bez wahania, że gotowi są ze środków municypalnych pokryć nadwyżki. I nic dziwnego! Zważywszy wydatki, jakie Łódź musi ponosić na utrzymywanie stosunków z Piotrkowem, dokąd bardzo często udawać się wypada po usługi administracyjno-sądowe, a w razach naglących i o pomoc, przeniesienie władz gubernialnych do niej byłoby wielką wygraną.

Ale zadawalając w ten sposób wymagania Łodzi, uszczerbek można zrobić nie tylko Piortkowowi, lecz także interesom Sosnowca, Będzina, Dąbrowy i Częstochowy. Są to również ważne ogniska przemysłowe, wzrastają z każdym rokiem. Dla nich przeistoczenie Łodzi w miasto gubernialne, leżące prawie na krańcu gubernii, sprawiłoby ujmę dotkliwą. Wobec takiej sprzeczności interesów, sprawa tak ważna dla Łodzi i jej rywalek prawdopodobnie rozstrzygnięta będzie w myśl reguły zalecającej, żeby i wilk był syt i kozy całe. Zresztą takie lub inne jej załatwienie zależy od tego, czy i o ile przeniesienie władz gubernialnych do Łodzi wiąże się koniecznie z reformą policyi, a wiadomo, że ta ostatnia ma nader doniosłe znaczenie dla tamecznych stosunków własnościowych.

Mieszkańcy Piotrkowa, zagrożeni ruiną materyalną w razie pozbawienia ich miasta gubernialnego, chcieliby sprawę siedliska władz załatwić drogą polubowną: Niech rząd gubernialny nie opuszcza Piotrkowa, bo Łódź z reformą policyi otrzyma swoją własną spotęgowaną władzę; ani też izba skarbowa, gdyż i obecnie kasa powiatowa łódzka przy pomocy miejskiej otrzymuje wszystkie opłaty należne skarbowi i rozprzedaje marki stemplowe. Z rozmieszczeniem zaś jurysdykcyi sądowej również można się urządzić zgodnie. Jest zamiar podziału dzisiejszego okręgu sądowego na dwa, do czego skłania nawał spraw cywilnych i karnych, nieodłączny od rozwoju stosunków społeczno-gospodarczych, a więc wymagający pomnożenia wydziałów. Przy okręgu piotrkowskim zostałyby powiaty: piotrkowski, noworadomski, częstochowski, łaski i będziński; przy łódzkim: rawski, łódzki z Łodzią, brzeziński i łęczycki. Za podobnem rozstrzygnięciem kwestyi oświadczają się także mieszkańcy powiatów: częstochowskiego i będzińskiego.

Ten pomysł rozpołowienia sądowniczego jednej z dziesięciu jednostek administra-

cyjnych Królestwa nie tylko nie jest pobożnem życzeniem parafiańszczyzny, lecz może być uważany za pół-świadomy wyraz potrzeby racyonalniejszego ukształtowania tych jednostek, potrzeby wynikającej ze wzrostu ludności kraju i jego rozwoju ekonomicznego. Pretensye Łodzi, Piotrkowa oraz innych miast, ubiegających się o odległość od władz sądowych, skarbowych i administracyjnych, zdradzają tylko dążność do rozmieszczenia tych władz w prawidłowszym stosunku do sił produkcyjnych danego obszaru. W takim razie najlepszą odpowiedzią na pytanie: Łódź czy Piotrków? mogłoby być stworzenie gubernii łódzkiej, istniejącej obok piotrkowskiej.

Z. A.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Konwersya. *Warsz. Dniew.* donosi, iż sprawa konwersyi 5% listów zastawnych Tow. kred. ziemskiego w Królestwie Polskiem na 4% zaczyna przybierać formę bardziej określoną. Po przyjeździe do Petersburga delegatów Towarzystwa odbywają się codziennie narady z przedstawicielami petersburskiego Banku handlowego, dyskontowego, ruskiego dla handlu zewnętrznego, wołżko-kamskiego, tudzież warszawskiego handlowego. Wszystkie te instytucye w zasadzie zgodziły się już na zmianę. Położono nacisk na podział konwersyi listów zastawnych (w ogólnej sumie 112 milionów rs.) na dwie części, jak to już zrobiono przy konwersyi 5% konsolidowanych obligacyi kolejowych, oraz przy pierwszej konwersyi 6% listów zastawnych banków ziemskich. *Warsz. Dniew.* zapewnia, iż istnieje projekt zaproponowania właścicielom 5% listów zastawnych, aby dobrowolnie zgłaszali się do konwersyi, przyczem zagwarantowane będzie Towarzystwu około 50 milionów. W razie złożenia większej liczby deklaracyi nastąpi odpowiedni podział. Nie złożone do konwersyi listy przeznaczone będą następnie do umorzenia po cenie nominalnej, co da możność przeprowadzenia nowej operacyi. Do udziału w przeprowadzeniu konwersyi zaproszono między innemi firmy bankierskie warszawskie: Aleksandra Goldstanda i J. Blocha.

Ruch przemysłowy. Fabryki łódzkie z nadzwyczajnym wysiłkiem pracują nad wykończeniem zamówień, które w sezonie bieżącym doszły do niebywałych rozmiarów. Skutkiem tego wiele zakładów, ledwie się mogąc wywiązać z dawniejszych, nie przyjmują nowych zapotrzebowań. Ów okres ruchliwy dobiega już do końca. Skutkiem wielkiego popytu na wyroby łódzkie, znaczną ilość tranzakcyj dokonano za gotówkę; w udzielaniu kredytu przemysłowcy miejscowi bardzo byli oględni. Zasługuje na uwagę fakt, że w sezonie obecnym towary łódzkie były nabywane przez kupców z wielu nowych miejscowości Cesarstwa. Widoki na okres przyszły (towary zimowe) zapowiadają się również pomyślnie. Firma łódzka „Gampe i Albrecht" wybuduje w r. b. nową fabrykę, która pomieści tkalnię o 257 warsztatach mechanicznych i przędzalnię na średnią skalę. Zakład wytwarzać będzie bojki i towary z odpadków przędzy bawełnianej. Pomyślny bieg interesów stworzył w ostatnich czasach znowu znaczną ilość drobnych zakładów fabrycznych, gdzie po kilku tkaczów wyrabia na warsztatach ręcznych korty i chustki dość lichego gatunku.

Wystawa. W Petersburgu odbędzie się międzynarodowa wystawa maszyn i narzędzi do oczyszczania, sortowania i suszenia nasion. Składać się będzie z 10-u działów: 1) maszyny i narzędzia do sortowania i oczyszczania zboża; 2) takie same przedmioty do ostatecznego oczyszczenia ziarna na sprzedaż i usunięcia takich domieszek, których w inny sposób pozbyć się nie można; 3) maszyny specyalne, przeznaczone do oczyszczenia i sortowania nasion; 4) do oddzielenia bawełny od nasion; 5) maszyny przeznaczone do zupełnego obsługiwania elewatorów; 6) maszyny i narzędzia do oznaczania wagi nasion i domieszek innych ziarn, oznaczenia własności technicznych ziarna, zdolności wschodzenia i użyteczności do celów gospodarstwa i zbiór narzędzi do zupełnego obsłużenia stacyi doświadczalnych; 7) Wagi samodziałające, miary automatyczne, narzędzia kontrolujące przy elewatorach itd; 8) maszyny do suszenia ziarna; 9) tkaniny metalowe druciane itp. części składowe maszyn sortujących i suszarni; 10) modele, plany, rysunki maszyn i narzędzi. Ten długi szereg narzędzi i maszyn, wyłącznie przeznaczonych do udoskonalenia ziarna, dowodzi, jak dalece rolnictwo się posunęło w zakresie ulepszeń technicznych i jak szerokie miejsce zajęła maszyna w tej gałęzi produkcyi. Sama zaś wystawa wykaże poniekąd, jakie miejsce zajmuje nasza gospodarka rolna w stosunku do kultury innych państw.

— Po wprowadzeniu w wykonanie projektu opodatkowania rubli kredytowych, wywożonych za granicę, ustanowiona będzie kontrola nad osobami, przejeżdżającemi przez stacye pograniczne, szczególnie komiwojażerami handlowymi. Od osób takich wymagana będzie deklaracya co do ilości posiadanych rubli kredytowych. Jedna będzie mogła przewieźć bez opłaty podatku 500 rs., cała zaś rodzina 1000 rs.

— Rada nadzorcza Towarzystwa przemysłowego „Laura heutte," eksploatującego kopalnie i huty żelaza w Sosnowcu, postanowiła sprzedać to przedsiębiorstwo, z powodu trudności zastosowania się do ukazu marcowego.

— Zarząd Towarzystwa wyrobów metalowych „Wulkan" zwołuje nadzwyczajne zebranie ogółu akcyonaryuszów, dla zyskania uchwały na powiększenie kapitału zakładowego do 600,000 rs. Fabryka chce tym sposobem producyę wdwójnasób rozszerzyć. Posiadacze starych akcyi będą mieli pierwszeństwo przy nabywaniu nowych.

— Specyalna komisya opracowała przepisy w sprawie wydawania właścicielom dóbr ziemskich pożyczek na sola-weksle dla ułatwienia im kupna narzędzi i maszyn rolniczych.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Wielu młodych lekarzy, którzy się zapisali w poczet urzędników ministeryum wychowania publicznego, uważa się za wolnych od służby wojskowej. Otóż obecnie ministeryum wyjaśnia, że lekarze, pełniący obowiązki przy zakładach naukowych, nie mogą z tego tytułu podawać się o uwolnienie od służby w armii i marynarce, gdyż ustawa o powinności wojskowej nie wyklucza urzędników tej kategoryi.

— Wiadomość o przeniesieniu się d-ra Bujwida do Odesy jest nieprawdziwa.

— Otwarto kasy oszczędności przy instytucyach pocztowo-telegraficznych w następujących miejscowościach: Węgrowie, Włodawie, Garwolinie, Żelechowie, Łukowie, Międzyrzecu, Radzyniu, Sokołowie, Siedlcach, Białe i Janowie (gub. siedleckiej).

— Komisya, utworzona z przedstawicieli ministeryów: dóbr państwa, skarbu, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, opracowała projekt ustawy o najmie robotników i rozesłała do oceny towarzystwom rolniczym tudzież innym instytucyom publicznym.

— W ministeryum spraw wewnętrznych opracowano normalną ustawę kas wkładowo-pożyczkowych, które mają być utworzone przy wszystkich bez wyjątku fabrykach i zakładach przemysłowych w całem państwie.

— Z Krakowa donoszą, iż poniżej Niepołomic Wisła wylała. Kilkanaście wsi stoi pod wodą.

— Rząd ruski odpowiedział gabinetowi wiedeńskiemu, że przesiedlających się włościan nikt nie gruntami nie obdziela i że władzom pogranicznym wydał rozporządzenie, iżby nie przepuszczały wychodźców przez granicę. Tym tylko wolno ją przekraczać, którzy się udają na roboty zakontraktowane i posiadają prawem przepisane paszporty.

— Nową ustawę miejską wprowadzono pomiędzy innemi w Rewlu, Astrachaniu, Grodnie, Odesie, Zytomierzu i Chersoniu.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa spożywczego urzędników państwowych i publicznych m. Sejny gub. suwalskiej.

— W Trieście znajduje się obecnie kilkaset rodzin, pochodzących z krajów koronnych austryackich, a pozbawionych wszelkich środków do życia. Rodziny te zostały namówione przez agentów do Brazylii. Zatrzymano je wszakże na granicy.

Szkoły. Szkoła rolnicza w Sobieszynie otwarta będzie dopiero w r. 1895.

— W sprawie przyjmowania żydów do gimnazyów ministeryum oświaty wyjaśniło, że na korzyść kandydatów powinno przemawiać: przedewszystkiem—wiek, stopień wykształcenia i zamożność rodziców. Pierwszeństwo mają uczniowie, kandydujący do klas niższych.

— Projekt przekształcenia instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej-Aleksandryi na wyższy zakład naukowy z kursem czteroletnim, został jednomyślnie przyjęty na posiedzeniu rady państwa.

— J. E. Generał gubernator warszawski uznał za konieczne pozbawienie Wilskiej prawa utrzymywania zakładu frebIowskiego (ul. Marszałkowska 119), z powodu stale dokonywanego naruszania programu (*Warsz. Dniew.*).

— W Finlandyi będą otwarte szkoły ludowe ruskie.

Sprawy kolejowe. Ostatecznie postanowiono radę zarządzającą kolei Dąbrowskiej z dn. 13 kwietnia r. b. przenieść z Warszawy częścią do Petersburga (buchhalteryę, kancelaryę rady, pomocnika radcy prawnego), częścią (kontrolę i wydział gospodarczy) — do Radomia z dn. 13 lipca. Niektórzy urzędnicy tej kolei zawiadomili swoją zwierzchność, iż wobec zajęć, wiążących ich w Warszawie, nie będą mogli przenieść się do Radomia. Pewna ich liczba znajdzie pomieszczenie w wydziale statystycznym, który pozostaje i nadal w Warszawie.

— W początkach kwietnia rozpocznie się budowa nowej kolei od stacyi Orany drogi Warszawsko-Petersburskiej do osady Olity, położonej na lewym brzegu Niemna (pow. kalwaryjski gub. suwalska).

— Wiceprezesem komitetu kolei Syberyjskiej został prezes komitetu ministrów, Bunge. Kierownictwo spraw objął zawiadujący interesami komitetu ministrów, Kułowzinow.

— Budowa kolei z Chabówki lub z Jordanowa do Nowego Targu, a stamtąd do Zakopanego w jedną stronę, a do Szczawnicy w drugą — jest bliską urzeczywistnienia. Potrzeba tej linii okazała się konieczną od chwili, gdy po stronie węgierskiej doprowadzono linię do Kiezmarka, Spiskiej Białej i do Pieczar Bialskich (tuż pod południowymi stokami Tatr). Rząd węgierski czyni starania o budowę kolei aż do Czerwonego Klasztoru nad Dunajem w Pieninach na granicy galicyjskiej, dla połączenia tej linii z galicyjską koleją karpacką. Dzięki staraniom p. Karola Lewakowskiego, roboty wstępne około budowy kolei Nowy Targ-Zakopane, rozpoczną się w roku bieżącym.

— Wkrótce przedstawiony będzie władzy wyższej do zatwierdzenia projekt budowy kolei z Penzy do Charkowa.

— Śledztwo przeprowadzone w sprawie nieszczęśliwego wypadku z nowozaciężnymi na kolei Samarsko-Złatoustowskiej 30 grudnia r. z. wykryło niedbalstwo służby i zarządu. Minister komunikacyi udzielił najsurowszą naganę b. naczelnikowi kolei, Pawłowskiemu, naczelnika ruchu, Ejsmonta, usunął, zawiadowcę stacyi Ufa, Pogranickiego, jego pomocnika Suchockiego i nadkonduktora Pachomowa, również uwolnił ze służby. Minister uprzedza, że za najmniejsze odstąpienie od przepisów, dotyczących bezpieczeństwa ruchu i przewozu, będzie wymierzał najsurowsze kary, nietylko na winnych bezpośrednio, lecz i na ich zwierzchność.

— Z rozporządzenia głównego inspektora kolei, na wszystkich drogach żelaznych przy pociągach będą połączone z parowozem kiszki sikawkowe, dla natychmiastowego ratunku w razie pożaru podczas ruchu (*Pożarn. Wiest.*).

— Z polecenia władzy kolejowej, na wszystkich liniach ustanowione będą posady fotografów, którzy w razach nadzwyczajnych fotografować mają miejsca wypadków, profile plantu, mosty, typy taboru ruchomego itd.

— Wzajemne rachunki koleje będą nadal załatwiały za pośrednictwem Banku państwa w Petersburgu, za co ta instytucya tytułem wynagrodzenia zawarowała sobie 25,000 rs. rocznie.

Zdrowie publiczne. Dyrektor departamentu lekarskiego wydał okólnik, obostrzający zwyczaje „oczyszczania" zwłok żydów, zmarłych na cholerę.

— Departament lekarski zalecił, ażeby w ciągu miesiąca wszystkie bezwarunkowo fabryki urządziły u siebie szpitale.

— Wykryto w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej tajną jatkę, gdzie sprzedawano cielęcinę, szkodliwą dla zdrowia.

Bibliografia. Czesław Jankowski. *Rymów nieco*, str. 189, Kraków.

— Dr. Nadmorski. *Kaszuby i kociewie*, str. 167, Poznań.

— M. Karejew. *Zarys historyczny sejmu polskiego*, tłom. Z. Poznański, str. 202, Warszawa, *Głos*.

— Z. Kowerska. *Dzidzia*, powieść, str. 278, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— K. Luboradzki i H. Michalski. *Informator kolejowy na r. 1893*, Warszawa.

— G. Korbut. *Wyrazy niemieckie w języku polskim*, str. 216, Warszawa.

Zmarli. Oskar Stanisławski w Kowlu (10 lutego) ur. w Ostrowie (Ks. poznańsk.) r. 1814. Jeden z główniejszych współpracowników „Wielkiej encyklopedyi powszechnej," wydanej nakładem Orgelbranda. Przełożył wiele powieści z języków: francuskiego, niemieckiego, angielskiego tudzież do użytku szkolnego *Historyę powszechną* Ditmara, obowiązującą w gimnazyach w ciągu lat kilku od r. 1861. Napisał dwie oryginalne powieści: *Ślepy* i *Zabielscy*, oraz komedyę *Anna sekretarzem*. Przez pewien czas redagował *Gazetę niedzielną* i *Opiekunę domowego*.

— Kalikst Jagmin, w Przyłęku (Opoczyńskie), zbieracz i pisarz w zakresie archeologii.

— Bronisław Romanowski w Warszawie. Artysta malarz ornamentacyjny.

— Wilhelm Czerwiński we Lwowie. Kompozytor i muzyk.

— Ernest L'Epin, powieściopisarz paryzki, znany pod pseudonimem Quattrelles.

— Dr. Julian Schweitzer w Berlinie. Pisarz w zakresie ekonomicznym.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. J. H. w Łodzi. Przekład polski kosztuje rs. 3 bez przesyłki.

Sprostowanie. W artykule „Historiografia niemiecka" czytać należy: str. 86 szp. 3 w. 33 zamiast przyjęli winno być przyjęli, w. 42 zam. ślepa i głupia — ślepą i głupią; str. 87 szp. 3 wiersz 44 zakorzenialym, w. 45 wprost przeciwne szerzy poglądy, w. 46 zam. została — nastała, str. 88 szp. 1 w. 11 za złośliwą uwagę o, szp. 2 w. 22 zam. każda epoka — każdą epokę.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Февраля 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.